MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 6. WARSZAWA, 1 LUTEGO 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEMIECKA POLITYKA MNIEJSZOŚCIOWA

(UWAGI NA MARGINESIE OSTATNIEJ DYSKUSJI W LIDZE NARODÓW)

RZESZA Niemiecka usiłuje w latach powojennych odgrywać rolę pioniera idei zapewnienia żyjącym w rozmaitych państwach mniejszościom narodowym warunków nieskrępowanego narodowego rozwoju — oraz rolę politycznego opiekuna i protektora wszystkich tych mniejszości. Z tą rolą, — podejmowaną z wielkim tupetem i przy akompanjamencie rozległej, posługującej się szeregiem górnolotnych frazesów wolnościowych propagandy — nie idzie jednak w parze stosowanie głoszonych przez Niemcy haseł w ich polityce wewnętrznej. Zachodzi potrzeba systematycznego demaskowania obłudy, tkwiącej w poczynaniach niemieckiej polityki mniejszościowej, przez informowanie o metodach, które Niemcy stosują wobec własnych obconarodowych grup ludnościowych.

Zagadnienie mniejszości narodowych bynajmniej nie jest w Niemczech zagadnieniem bez znaczenia. Chociaż Rzesza Niemiecka należy do najbardziej jednolitych narodowo państw w Europie— skupienia ludności obconarodowej, częstokroć całkowicie uświadomionej narodowo, osiadłej przeważnie na peryferjach państwa, w zgupowaniach mniej lub więcej zwartych, w dzielnicach politycznie ważnych — tworzą swoją obecnością problemat nie o wiele mniej trudny, niż zagadnienie mniejszości narodowych w niejednem mniej od Niemiec jednolitem narodowo państwie. Największą liczebnie grupą obconarodową w Niemczech są Polacy. Aby umożliwić dokładniejsze zdanie sobie sprawy z rozmiarów niezaspokojenia ich potrzeb w dziedzinie choćby szkolnictwa—pozwolimy sobie podać cyfry dotyczące ich liczebności. Według spisu ludności z dn. 16 czerwca 1925 r. stan liczebny mniejszości polskiej w Niemczech (t. zn. ludności posiadającej niemiecką przynależność państwową) przedstawiał się jak następuje: ludności o polskim języku ojczystym było w Niemczech 214115 (w Prusiech 209087), ludności dwujęzycznej polsko-niemieckiej w Niemczech 507721 (w Prusiech 507598), ludności językowo kaszubskiej w N. 382 (w Pr. 217), dwujęzycznej kaszubsko - niemieckiej w N. 89 (w Pr. 89), mazurskiej w N. 49926 (w Pr. 49678) oraz dwujęzycznej mazursko-niemieckiej w N. 31172 (w Pr. 31167). Ponieważ wszystkie te cyfry dotyczą ludności w gruncie rzeczy polskiej — mamy więc według niemieckiej statystyki Polaków obywateli niemieckich w Niemczech 803405, a w samych tylko Prusiech 797936. Ze szkół obcojęzycznych korzystają w każdem państwie w praktyce nietylko obywatele miejscowi, — lecz w niemałym stopniu też i zamieszkali w danem państwie cudzoziemcy. Otóż osiadłych w Niemczech (a więc nie obejmujących robotników sezonowych) Polaków o nie niemieckiej przynależności państwowej jest według tegoż spisu 181878, a w Prusiech 131184. Razem więc Polaków w Niemczech jest według niemieckiego spisu 985283, w Prusiech 929120 [1]).

Spis ten daleki jest jednak od bezstronności i cyfrę Polaków w Niemczech tendencyjnie pomniejsza. Nie będziemy tu podawać dowodów tendencyjności tego spisu [2]) — ograniczymy się tylko

[1]) Wszystkie cyfry wyżej cytowane zawarte są w tomie 401 wydawnictwa *„Statistik des Deutschen Reichs"*, zatytułowanym *„Die Bevölkerung des Deutschen Reichs nach den Ergebnissen der Volkszählung 1925"*. Cytuje je dr. W. Junosza w artykule „Statystyka ludności polskiej w Niemczech" w „Sprawach Narodowościowych", III, 1929, № 2.

[2]) Podaje je M. Przyski w art. „Mniejszości językowe w Prusach w świetle spisu 1925 r." „Sprawy Narodowościowe", II, 1928, № 5.

do porównawczego przytoczenia paru cyfr ze spisu z r. 1910 [3]). W Prusach Wsch. (bez regencji kwidzyńskiej) było w r. 1910 — Mazurów 172080, Niemcomazurów 12727, Polaków 71648, Niemcopolaków 12494, razem 268949 — w r. 1925 na tymże obszarze Mazurów 43064, N-m. 26710, P. 14781, N.-p. 18515. Razem 103070 (cyfra ta nie obejmuje 12889 Polaków, Mazurów i dwujęzycznych kwidzyńskich). W Prusiech Zach. i Marchji Granicznej — w r. 1910 P. 26234, N.-p. 2028, razem 28262, — w r. 1925 P. 9423, N.-p. 5525, razem 14948. Na Śląsku w r. 1910 Polaków 579023, Niemcopolaków 50687, razem 629710, w r. 1925 P. 154740, N.-p. 373503, razem 528243. W zagłębiu Ruhry w r. 1910 Polaków 67124, N.-p. 3968, razem 71092, w r. 1925 P. 6556, N.-p. 14598, razem 21598. Oczywistą jest rzeczą, że zmian tak gruntownych w ciągu lat piętnastu sprowadzić nie mogła asymilacja, będąca zjawiskiem, dokonywającem się w procesach bardzo powolnych. Nie sprowadziła ich również emigracja, która rozmiarów tak poważnych nie przybrała. Nie może więc ulegać wątpliwości (co informacje o nieprawidłowościach w przeprowadzaniu spisu potwierdzają), że spis w r. 1925 dokonany został tendencyjnie i znaczną część Polaków zeskamotował. Zapewne niedalekie od prawdy są obliczenia samej mniejszości polskiej w Niemczech, szacujące liczbę Polaków w tem państwie na półtora miljona.

Ale obok Polaków żyją w Niemczech i inne grupy obconarodowe: pokrewni nam Łużyczanie, szacujący się sami na stokilkadziesiąt tysięcy głów, a których spis z r. 1925 oblicza (łącznie z dwujęzycznymi) na 71029, z czego 42808 w Prusiech i 28225 w Saksonji, Czesi i Morawcy na Śląsku, których (łącznie z dwujęzycznymi) miało w r. 1925 być 11200, Duńczycy w Slezwigu, których miało być 5709, Fryzyjczycy nad morzem Północnem, których obliczono jedynie na wybrzeżach Slezwigu (na 7311), lecz którzy zamieszkują i inne okręgi, a wreszcie Litwini koło Tylży, których — z niewątpliwem pogwałceniem rzeczywistości — spis wykazał 4614, a których jest niewątpliwie znacznie więcej [4]). Jak widzimy, żywioły, wobec których mogliby Niemcy we własnem państwie zastosować wzniosłe zasady swej ideologji mniejszościowej, — są wcale silne liczebnie.

Należy przypomnieć na początku, że odnośnie do całego państwa, Niemcy nie przyjęły na siebie żadnych zobowiązań międzynarodowych, — w rodzaju ciążącego na Polsce traktatu o mniejszościach z dn. 28 czerwca 1919. Już choćby z tego jednego względu mniejszości narodowe są w Niemczech w sytuacji mniej dogodnej, niż np. w Polsce. Jedynie tylko na dawnym obszarze plebiscytowym Opolskiego Śląska obowiązuje zawarta dn. 15 maja 1922 roku na okres lat piętnastu Konwencja Genewska, w której znajdują się, zacytowane ze wspomnianego traktatu o mniejszościach, przepisy, dotyczące ochrony mniejszości narodowych. I tak w art. 68 wspomnianej Konwencji (wzorowanym na art. 8 traktatu o mniejszościach) zawarte jest m. in. zobowiązanie, brzmiące, że „obywatele niemieccy, należący do mniejszości etnicznych, religijnych lub językowych... będą mieli równe prawa do zakładania, prowadzenia i kontrolowania własnym kosztem szkół i innych zakładów wychowawczych, oraz prawo swobodnego używania w nich własnego języka i swobodnego w nich wykonywania praktyk swojej religji“. W art. 69 (wziętym z art. 9 ustęp 1 i 2, traktatu o mniejszościach) zawarty jest przepis, że „w miastach i okręgach, zamieszkałych przez znaczny odłam obywateli języka innego, niż niemiecki, Rząd niemiecki udzieli w sprawach nauczania publicznego odpowiednich ułatwień, aby zapewnić w szkołach początkowych udzielanie dzieciom takich obywateli niemieckich nauki w ich własnym języku. Postanowienie to nie przeszkodzi Rządowi niemieckiemu uczynić w tych szkołach nauczania języka niemieckiego obowiązkowem“. Przepisy te — wraz z innemi przepisami Konwencji Genewskiej — tracą moc w 1937.

Zobaczmyż, jak przepisy te — o sankcji międzynarodowej — są przez Niemcy wykonywane. Widzieliśmy wyżej, ilu Polaków zamieszkuje Śląsk. Otóż władze niemieckie — wykonywając art. 69 Konwencji Genewskiej — utrzymują na Śląsku Opolskim 28 państwowych szkół z językiem wykładowym polskim, w których w dniu 31 marca 1930 roku wykładało 29 nauczycieli i pobierało naukę ani mniej, ani więcej, tylko 392 (trzysta dziewięćdziesiąt dwoje) dzieci. Reszta dzieci polskich (poza dziećmi, uczęszczającemi do otwartych ostatnio szkół prywatnych, — o czem niżej) uczęszcza tam do szkół niemieckich. Jedynie drobny ich odsetek uczył się w tych szkołach języka polskiego jako przedmiotu. Nie wiemy dokładnie, ile wynosi ich liczba w chwili obecnej. Jak podaje dr. Wieniewski [5]) przed 1 kwietnia 1929 r. było ich zaledwie 719, co stanowiło 0,91% ogółu dzieci polskich na Śląsku Opolskim. Liczba ta niewątpliwie zmniejszyła się od tej pory, — w związku z ogólną tendencją topnienia liczby dzieci, uczących się w szkołach rządowych po polsku (tak np. w szkołach z polskim językiem wykładowym było wówczas 506 dzieci, — co stanowiło 0,44% ogółu, — wobec 392 dzieci według statystyki ostatniej).

Jeszcze niewiele lat temu liczby te były bez porównania większe. Sam b. nadprezydent prowincji Górnośląskiej, dr. Proske, w artykule, ogłoszonym w *„Oberschlesische Volksstimme“* (w jednym z numerów z lutego 1929 r.), nie przeczy, że po rozgraniczeniu Górnego Śląska, zgłoszono na Górnym Śląsku niemieckim 5027 dzieci do szkół mniejszościowych (z językiem wykładowym polskim) i zażądano nauki religji, czytania i pisania po polsku dla 10833 dzieci w szkołach niemieckich.

Nietrudno wskazać na przyczynę tak katastrofalnego zmniejszenia się liczby dzieci polskich, korzystających z zagwarantowanych im przez Konwencję Genewską uprawnień. Są nią — przy pozorach stosowania przepisów Konwencji — 1) wywieranie nacisku rozmaitemi sposobami na rodziców, by nie zgłaszali żądania nauki w języku polskim dla swych dzieci, względnie by zgłoszone żądania wycofywali, 2) takie zorganizowanie szkół polskich, wzgl. lekcyj polskich w szkołach niemieckich, by korzystanie z tych szkół i lekcyj dzieciom obrzydzić. Nauka polska prowadzona jest na Śląsku niemieckim przez

[3]) Zestawienie zaczerpnięte z berlińskiej *„Statistische Korrespondenz“* № 13 z 1926 r. art. *„Die fremdsprachigen Minderheiten des Preusischen Staates“*.

[4]) Nie wymieniamy Żydów, którzy pomimo silnego pomiędzy nimi prądu syjonistycznego, za mniejszość narodową w Niemczech się nie uważają.

[5]) Dr. Ignacy Wieniewski: „Szkolnictwo polskie na obczyźnie“, odbitka z „Oświaty i Wychowania“. Warszawa, 1930

nauczycieli — Niemców (kształconych na specjalnym kursie polonistycznym w Nysie), którzy—poza nielicznemi wyjątkami — czynią wszystko, by dziatwę do nauki tej zrazić. Lekcje polskie w szkołach niemieckich przesuwane są na najniedogodniejsze godziny i t. d. Przy takim systemie stosowania przez Niemcy zaciągniętych w Konwencji Genewskiej zobowiązań — trudno się dziwić, że w kraju, w którym powojenna statystyka niemiecka wykazuje niewątpliwych Polaków 154.770, a łącznie z dwujęzycznymi 528.243, — który w plebiscycie głosował w dużym odsetku na Polskę (powiat Głogówek 12,15% głosów, pow. Kluczbork 30,06%, pow. Oleśno 32%, pow. Opole-wieś 42,37%, pow. Strzelce nawet 50,80%, — nie licząc powiatów, podzielonych później między Polskę a Niemcy), — którego polskość była jeszcze dziesięć lat temu tak tęga, że zdobyła się na zbrojne powstanie, — w którym w czysto demonstracyjnem głosowaniu (bez szans na mandat) w wyborach do Reichstagu we wrześniu 1930 r. padło na polską listę około 37.000 głosów, — w którym wreszcie, już po rozgraniczeniu, ludność zażądała nauki polskiej dla blisko jedenastu tysięcy dzieci, — że w kraju tym do szkół rządowych z językiem wykładowym polskim, uczęszcza 392 dzieci, — a naukę języka polskiego jako przedmiotu pobiera w pozostałych szkołach rządowych garstka dzieci nie o wiele większa.

Tak wygląda liberalna polityka mniejszościowa państwa, uważającego się za pioniera idei ochrony mniejszości — w dzielnicy, w której obowiązki tego państwa określone są konwencją międzynarodową.

Jakże wygląda ona w dzielnicach pozostałych?

Konstytucja Rzeszy, uchwalona dn. 11 sierpnia 1919 r. w Wejmarze, gwarantuje wprawdzie formalnie prawa narodowe mniejszości. Słynny artykuł 113 konstytucji tej brzmi: „Ustawodawstwo i administracja nie mogą niczem krępować swobodnego rozwoju grup obcojęzycznych Rzeszy, zgodnie z ich charakterem narodowym, — w szczególności w dziedzinie używania ich mowy ojczystej w nauczaniu, zarówno jak w administracji wewnętrznej i wymiarze sprawiedliwości". Istnienie tego artykułu jest dla Niemiec atutem propagandowym na zewnątrz, — nie można się też dziwić, że artykuł taki został w konstytucji Wejmarskiej zamieszczony. Niestety, artykuł ten pozostaje po dziś dzień martwą literą.

Doniedawna, jedynym ochłapem ustawodawczym, rzuconym mniejszości polskiej w dziedzinie spraw szkolnych, było rozporządzenie pruskiego ministra oświaty z dn. 31 grudnia 1918 r., zezwalające na udzielanie w szkołach publicznych w Prusiech, o ile rodzice tego zażądają, paru godzin tygodniowo nauki polskiego czytania i pisania oraz religji po polsku, — jako przedmiotów, dodanych do obowiązującego niemieckiego programu. Rozporządzenie to (dzięki sabotowaniu go przez władze lokalne) nie było przez parę lat wcale wykonywane, — następnie zaś było wykonywane w ten sposób, że w praktyce nauka polskiego, na jego zasadzie tu i ówdzie, przy użyciu niebywałych szykan, udzielana (przez nauczycieli — Niemców, nie posiadających choćby cienia kwalifikacyj do nauczania po polsku, nie przechodzących nawet tego kursu, co nauczyciele na Śląsku Opolskim) pozbawiona była wszelkiej wartości.

I tu również stosowano na wielką skalę system przesuwania lekcyj polskich na tak wczesne lub tak późne godziny, że dziatwa w ogromnym odsetku nie mogła z nich w praktyce korzystać.

W podobny mniej więcej sposób, jak wyżej wymienionem rozporządzeniem pruskiem z dnia 31.XII.1918, dotyczącem mniejszości polskiej, uregulowała Saksonja uprawnienia języka łużyckiego w szkolnictwie saskiej części Łużyc.

Stan rzeczy jednak, w którym Niemcy — odgrywając rolę opiekuna mniejszości narodowych na *forum* obcem — zaspokajały żywotne potrzeby podobnych mniejszości u siebie w sposob równie niewystarczający, — nie mógł się utrzymać długo. Niekonsekwencja stanowiska Niemiec była w tym stanie rzeczy zbyt już rażąca, — konieczne było dla Niemiec choćby pozorne jej usunięcie.

Najwcześniej odczuły Niemcy nacisk wytworzonej sytuacji na odcinku najbardziej widocznym dla opinji zachodniej Europy, mianowicie na interesującym Skandynawję odcinku sprawy duńskiej w Sleswigu. Chęć Niemiec okazania się na tym odcinku w zgodzie z głoszonemi przez siebie hasłami polityki mniejszościowej wyraziła się w rozporządzeniu z dn. 9 lutego 1926 roku, zezwalającem na zakładanie szkół prywatnych z językiem wykładowym duńskim, oraz przewidującem możliwość udzielenia tym szkołom w pewnych okolicznościach subwencyj rządowych, a nawet przejęcia ich na etat państwowy.

Mniejszość polska musiała czekać jeszcze dalsze trzy lata na podobny akt, — zezwalający jej na korzystanie z tak elementarnego prawa, jakiem jest prawo do zapewnienia swoim dzieciom za własne pieniądze całokształtu nauki w języku ojczystym. Otrzymała go w postaci rozporządzenia pruskiej rady ministrów z dn. 31 grudnia 1928, — przyczem rozporządzeniem z tej samej daty zmienione było rozporządzenie w sprawie szkół duńskich w kierunku uzgodnienia z rozporządzeniem dla Polaków (z wyjątkiem sprawy subwencyj rządowych, w której Duńczycy pozostali nadal w sytuacji korzystniejszej). Dokładnie więc przez dziesięć lat prawa mniejszości polskiej w dziedzinie szkolnictwa chronione były w powojennych, republikańskich, liberalnych, tolerancyjnych, wolnościowych, „nowych" Niemczech — jedynie przez skromny *„Erlass"* z dn. 31.XII.1918, zezwalający zalewie na parę uzupełniających godzin lekcyjnych języka polskiego, — udzielanych przez nie mających ku temu kwalifikacyj nauczycieli. Warto przytem zwrócić uwagę na drogę, w jakiej akt z 31.XII.1928 został wydany: drogę rozporządzenia. Wobec nastrojów w społeczeństwie niemieckiem, akt ten, niezbędny Niemcom jako atut w ich polityce zewnętrznej, nie miał szans przejścia w drodze ustawodawczej.

Oto podstawowe zasady tego rozporządzenia:

Art. I § 2. Przynależność do mniejszości nie może być ani sprawdzana, ani podawana w wątpliwość... Zgłoszenie dziecka do szkoły mniejszościowej przez rodziców wzgl. opiekunów wystarcza dla uznania dziecka za przynależne do mniejszości.

Przepis sformułowany rzekomo w interesie mniejszości, w istocie potrzebny Niemcom jako wzór, na który możnaby się powoływać zagranicą, jest dla Polaków w gruncie rzeczy bez wartości, bo wobec sytuacji ekonomicznej Polaków w Niem-

czech — niema obawy, by wywierali tam oni nacisk na rodowitych Niemców w kierunku posyłania przez nich dzieci do szkół polskich. Zupełnie inna jest sytuacja np. na polskim Śląsku, gdzie pracodawcy, należący do mniejszości (niemieckiej), istotnie wywierali nacisk na swych robotników, Polaków, by posyłali swe dzieci do szkół niemieckich. Sprawdzanie, czy zgłoszone dzieci istotnie do mniejszości należą, byłoby tu dla ambitnych poczynań mniejszości krępujące, — uniemożliwienie jednak podobnego sprawdzania w Niemczech nic nowego Polakom nie daje. Sformułowanie art. I § 2 tylko dla zewnętrznego efektu uwidocznia się tem jaskrawiej przy porównaniu go z art. II § 2, brzmiącym: „Dzieci o nie niemieckiej przynależności państwowej, jeśli ich przynależność co do pochodzenia lub języka do narodowości polskiej zostanie udowodniona, mogą być do uczęszczania do prywatnej szkoły mniejszościowej dopuszczone". Tutaj udowodnianie narodowości jest wymagane, — ale bo też tutaj Niemcy nie mogą sobie bezkarnie pozwolić na szeroki gest, gdyż wypadki zgłaszania, z takich, czy innych pobudek, dzieci do szkół polskich przez Niemców — obywateli polskich, mogłyby się istotnie zdarzać.

Art. II § 3 (posyłanie dzieci do szkół mniejszościowych czyni zadość obowiązkowi szkolnemu).

Art. II § 4 (nauczać w szkołach mniejszościowych mogą nietylko nauczyciele z patentami niemieckiemi, lecz również z patentami, wydanemi przez Państwo Polskie, — które na terenie szkół mniejszościowych są z niemieckiemi równouprawnione).

Gdyby przepis ten nie został w rozporządzeniu zawarty — szkoły polskie nie powstałyby przez dłuższy czas w Niemczech, bo nie miałby w nich kto wykładać. Nauczyciele niemieccy nie mają kwalifikacyj do nauczania po polsku, — należałoby wpierw ich wiedzę uzupełnić, co nie dałoby się uskutecznić natychmiast.

Art. III § 1 i § 2 zezwala na zakładanie na tych samych zasadach szkół o typie wyższym, niż ludowe.

Art. V § 1 „Jeśli liczba... dzieci, uczęszczających do szkoły mniejszościowej sięga 40 w obwodzie szkolnym o mniej niż 20.000 mieszkańców, sięga 80 w obwodzie od 20.000 — 50.000 mieszkańców, sięga 120 w obwodzie od 50.000 — 100.000 mieszkańców, sięga 240 w obwodzie o więcej niż 100.000 mieszkańców — udziela się tej prywatnej szkole subsydjum państwowego... Subwencja ma z reguły wynosić 60% uposażenia pełno — zatrudnionych w szkole nauczycieli (— lek)"...

Art. VI § 1 (odnośnie do szkół, wymienionych w art. V § 1 przewidziana jest możliwość zamienienia ich na żądanie rodziców na szkoły rządowe, o ile przez przeciąg 3 lat będą — w rozmiarach, określonych we wspomnianym art. — istnieć jako szkoły prywatne).

Wydanie tego rozporządzenia, jakkolwiek tak późne, tudzież podyktowane względem na politykę zagraniczną, — oraz jakkolwiek wymagające przy jego wyzyskaniu wielkiego wysiłku finansowego mniejszości (brak szkół publicznych, zakładanych bez piorwotnych wkładów samej mniejszości), — stworzyło już jednak pewną, chociaż skromną, podstawę dla rozwoju polskiego szkolnictwa w Niemczech. Już w parę miesięcy po ukazaniu się rozporządzenia, — z wiosną 1929 roku, — zaczęły się w Niemczech ukazywać pierwsze polskie szkoły prywatne. Wzrost ich liczby — powolny i mozolny wskutek trudności i kosztów — jak dotąd, odbywa się stale. Według danych najświeższych (z grudnia 1930 roku) — liczba ich wynosi łącznie 54. Z nich 28 przypada na t. zw. Pogranicze (Grenzmark Posen — Westpreussen), a mianowicie 22 na powiat Złotowski (Flatow), 5 na pow. Babimojski (Bomst) i 1 na pow. Międzyrzecki (Meseritz). Dalej 19 szkół przypada na Prusy Wschodnie, mianowicie 10 na pow. Olsztyński na Warmji (Allenstein), 7 na pow. Sztumski w ziemi Malborskiej (Stuhm) i 1 na pow. Reszelski na Warmji (Rössel). Następnie — 4 szkoły przypadają na Pomeranję, a mianowicie pow. Bytowski na Kaszubach (Bütow). A wreszcie 3 szkoły — niedawno zresztą otwarte — istnieją na G. Śląsku, z czego 2 w pow. Oleskim (Rosenberg) i 1 w pow. Strzeleckim (Gross-Strehlitz). Szczególnie ciekawa jest informacja o otwarciu owych 3 szkół na Śląsku, gdzie — na zasadzie Konwencji Genewskiej — istnieje wszak podstawa prawna do żądania szkoły publicznej. Najwidoczniej ludność zniecierpliwiona sposobem, w jaki przepisy Konwencji o szkołach mniejszościowych są przez władze niemieckie stosowane, woli się bez pomocy tych władz w wychowaniu swoich dzieci obejść.

Powyższe — prywatne — zestawienie nie zawiera danych o liczbie uczniów i nauczycieli. Dane te podaje dr. Wieniewski [6]), — w odniesieniu jednak do dnia 1 maja 1930 r.: było wówczas ogółem 41 szkół (zatem o 13 mniej, niż teraz), o 56 nauczycielach i 1536 uczniach (Pogranicze: 24 szkoły, 38 naucz., 1157 uczn., Prusy Wsch.: 11 szk., 12 naucz. 239 uczniów, Pomeranja: 3 szk., 3 naucz.. 85 uczn., G. Śląsk: 3 szk., 3 naucz., 55 uczn.). Rzecz ciekawa — że wykaz dr. Wieniewskiego podaje więcej dzieci, uczęszczających 1. V. 1930 na Pograniczu do szkół prywatnych polskich (1157, — dziś niewątpliwie jeszcze znacznie więcej), niż korzystających przed 1. IV. 1929 z nauki jęz. polskiego w szkołach publicznych (1137). To zestawienie wykazuje szczególnie dobitnie wartość tego ostatniego — przez dziesięć lat jedynego—urządzenia.

Tak się stan prawny i faktyczny sprawy szkolnictwa mniejszościowego przedstawia dziś w Niemczech. Ze szczególnym naciskiem należy w nim podkreślić rzecz jedną: nie istnieje p o d z i ś d z i e ń ż a d n a podstawa prawna dla stworzenia choćby najskromniejszej własnej szkółki przez kilka znacznych odłamów ludności obconarodowej w Niemczech. Rozporządzenia o szkolnictwie duńskiem i polskiem są rozporządzeniami pruskiemi, — obowiązują tylko w Prusiech. Spore skupienia np. wychodźców polskich w Saksonji, w wolnem mieście Hamburgu czy w Meklemburgji, a więc poza obszarem Prus, p o d z i ś d z i e ń nie korzystają z tak szeroko przez Niemcy propagowanego i tak podstawowego prawa, jak prawo wychowywania w mowie i w duchu ojczystym swojej własnej młodej generacji. Nie korzystają również z żadnych uprawnień szkolnych drobne grupki mniejszościowe: litewska i czeska (Fryzyjczycy jakie takie uprawnienia na zasadzie osobnego rozporządzenia posiadają). Nakoniec również z ż a d n y c h uprawnień szkolnych nie korzysta na-

---

[6]) *Opus citatus.*

rodowość łużycka, — w całości mieszkająca w Niemczech, — zajmująca, nie jako mnejszość etniczną, lecz jako większość, — wcale rozległe terytorjum, — posiadająca własną, stosunkowo dość bogatą literaturę, — własne życie polityczne (w jednych z powojennych wyborów do Reichstagu listy łużyckie, zblokowane z polskiemi i duńskiemi zebrały około 10.000 głosów),—własną prasą (około dziesięciu czasopism z poważnym dziennikiem „*Serbske Nowiny*“ na czele), — rozgałęzione życie organizacyjne, — a wreszcie wysoce rozwiniętą świadomość odrębności narodowej.

Polakom i Duńczykom trzeba było dać—przez wzgląd na opinję międzynarodową—pewne uprawnienia. O Łużyczan nikt się nie upomni, — można zasadę ochrony mniejszości gwałcić w odniesieniu do nich w sposób zupełnie bezceremonjalny.

Ale nawet tam, gdzie pewne uprawnienia szkolne Niemcy swoim mniejszościom przyznały,— nawet tam wszystko jest ze strony niemieckiej czynione, by uprawnienia te uczynić fikcją. Presja na ludność obconarodową (polską przedewszystkiem) wywierana jest przez czynniki niemieckie przy pomocy wprowadzania rozróżnienia między poczynaniami władz niemieckich, a niemieckiego społeczeństwa. Władze starają się o pozory poprawności postępowania, — podczas gdy żywioły społeczne niemieckie, nie czując się skrępowane, ustosunkowują się do ludności polskiej w sposób, jaki im najbardziej odpowiada: jawnie nienawistnie. Napady na szkoły polskie ze strony Hitlerowców, lub organizacji *Stahlhelm*'u (jak ostatnio w Mikołajkach w Sztumskiem lub w jednej ze szkół w Pomeranji) oczywiście nie obciążają zbyt dużą odpowiedzialnością niemieckich władz, jeżeli postarały się one o pozory ochrony policyjnej, śledztwa i t. d., albo nawet znajdą kozłów ofiarnych między winowajcami i na nich całą odpowiedzialność zrzucą. Napady jednak podobne, stwarzając atmosferę zastraszenia, rozwój polskiego szkolnictwa w niemałej mierze hamują.

Skutecznym również środkiem presji jest w odniesieniu do wielu jednostek presja gospodarcza. Przedewszystkiem usuwanie robotników, posyłających swe dzieci do szkół, przez pracodawców z posad. Presję tego rodzaju (oczywiście pod pretekstami starannie dobranemi — lecz z intencją dla dotkniętych tą presją dostatecznie zrozumiałą) stosują również władze rządowe. Możnaby wskazać liczne przykłady wydalań służby leśnej z lasów państwowych, szykany podatkowe, szykany kredytowe, irytujące drobne szykany policyjne i t. d., spowodowane chęcią wywarcia na rodziców presji w kierunku nieposyłania dzieci do szkół polskich.

Oczywiście, usiłowania te osiągają skutek jedynie częściowy. Ludność obcojęzyczna w Niemczech (przedewszystkiem — ludność polska) jest żywiołem zbyt licznym i zbyt silnym, by mogła się ugiąć pod naporem małostkowych szykan. Ludność polska w Niemczech składa się nietylko z robotników i parobków. Główną jej masę stanowią chłopi-gospodarze, bądź co bądź ekonomicznie niezależni, — a nie brak między tą ludnością i innych warstw społecznych, inteligencji, rzemieślników, przemysłowców, kupców, — nawet (w ziemi Malborskiej) wielkich właścicieli ziemskich (szlachty i arystokracji). Zresztą i biedni robotnicy i parobcy potrafią swoich praw bronić i je obronić. Niemiecka polityka ucisku z pewnością ludności polskiej w Niemczech (tak samo duńskiej, łużyckiej i t. d.) — nie złamie.

Polityka ta jest jednak jaskrawym dowodem obłudy haseł, głoszonych przez Niemcy na *forum* międzynarodowem [7]).

WIEL.

---

[7]) Wspominamy jeszcze o najświeższej ilustracji niemieckiej polityki mniejszościowej w dziedzinie szkolnictwa: o trudnościach, czynionych założonym na Pograniczu, w liczbie około dwudziestu, polskim wieczorowym kursom dokształcającym. Władze niemieckie odmawiają kursom tym prawa istnienia,—wbrew wyraźnemu brzmieniu wspomnianego wyżej § 1 i § 2 art. III rozporządzenia z dn. 31 XII 28.

Władze pruskie dążą najwidoczniej do ograniczającej (nawet — jak w danym wypadku — wbrew wyraźnej literze) interpretacji wymienionego rozporządzenia.

ZWIERCIADŁO DUSZ

TRZY są w najogólniejszym podziale rodzaje pracy ludzkiej: naukowa, artystyczna i praktyczna. Jak wszystko na świecie, tak i one nie są pooddzielane między sobą linjami granic nieprzekraczalnych. Zazębiają się i przenikają się wzajem, pozostają w rozmaitych ze sobą stosunkach współzależności — tak samo, jak różne siły ducha ludzkiego, z których powstają. Ale podział w zasadniczych rysach jest widoczny, a poznanie go ma dla człowieka wartość naukową, wychowawczą i użytkową.

Praca naukowa bada i szereguje zjawiska świata. Tu siłą główną jest umysł, a w pracy tej stara się być niezależnym od uczuć i względów praktycznych. Praca artystyczna wyraża wrażenia i wyobrażenia człowieka. Tu siłą główną jest dusza (uczuciowość i wyobraźnia). I ona również uniezależnia się od względów naukowych i praktycznych. Praca praktyczna wprowadza w czyn, czyli stosuje naukę (wiedzę) i sztukę, a siłą główną jest tu wola. Nie posiada ona uroszczeń do niezależności, może raczej dumę swoją zasadza na zarządzaniu bogactwami obu tamtych dziedzin siostrzanych.

W nawiasie uprzedzić muszę możliwe zastrzeżenie co do określenia „praca praktyczna“. Użyłem go tu nie w znaczeniu potocznem, ale ściśle według źródłosłowu greckiego, który oznacza właśnie „wprowadzenie w czyn“ lub „w działanie“, co w mowie polskiej doskonale wyraża słowo „stosowanie“. Prócz tego zaznaczam, że pracę odróżniam od czynności, jako pracę twórczą. Pojęcie „czynność“ ma zakres ogólniejszy i treść mniejszą.

Według podziału tego takie, naprzykład, prace, jak polityka, lub medycyna należą do działu pracy praktycznej, albowiem każda z nich stosuje wyniki szeregu różnych dyscyplin naukowych, zamienia je w działanie życiowe. Religja jest rodzajem pracy praktycznej, ponieważ stosuje do życia naukę (teologję, filozofję), moralność i sztukę. Moralność w swojej części teoretycznej jest nauką (odłamem filozofji), a stosowana w życiu (np. w wychowaniu) jest rodzajem pracy praktycznej. Archi-

tektura stanowi w części pracę artystyczną, a w części — praktyczną, bo stosuje do życia wyniki szeregu nauk i sztuk, a wśród nich i siebie samą, jako sztukę samodzielną. Wzorem przykładów powyższych na całym obszarze życia łączą się, mieszają, wpływają na siebie i dzielą się w różnych stosunkach trzy rodzaje pracy człowieka. Spójrzmy osobno na jeden z nich — na pracę artystyczną.

Sztuka wyraża duszę artysty, czyli jego wrażenia, wzruszenia i wyobrażenia. Wszelkie w niej objawy inne są tylko pomocnicze, albo wtórne. Wyrażanie duszy jest dla sztuki cechą rodową, która wyróżnia ją od innych prac ludzkich. Ponieważ sam artysta jest wytworem pewnych zbiorowości, przeto, zależnie od wielu współczynników, poprzez poszczególnego artystę, w stopniu większym lub mniejszym, w sztuce jego wyrażają się jego macierzyste zbiorowości ludzkie — ród, naród, szczep, rasa, epoka. W duszy artysty, jak w soczewce, ogniskują się te i owe cechy zbiorowe z dodatkiem jego cech osobistych, a następnie w różnych załamaniach i zabarwieniach promieniują na dzieło. Tym sposobem sztuka jest nietylko wyrazem duszy swojego twórcy bezpośredniego, ale i duszy zbiorowej. Stąd też jesteśmy w zupełnej zgodzie z metodą naukową, gdy mówimy o sztuce danego narodu, jako o zjawisku odrębnem, mającem tylko swoje domieszki i podziały chronologiczne. Na podstawie chronologji odnajdujemy pewne cechy, które charakteryzują epokę i w rysach ogólnych łączą ducha danej rodziny narodów. Więc np. europejska sztuka starożytna, średniowieczna i nowożytna — i t. p. Jednak i tu bliższe wejrzenie w sztukę doprowadza zawsze do narodu, jako samorzutnej i najdoskonalszej zbiorowości ludzkiej.

Historja sztuki stale stosuje ten narodowy kątomiar pracy artystycznej, bowiem daje on podziałkę naturalną, pewną i ściśle z ogółem zjawisk historycznych zgodną. Bez niego praca historyka sztuki stałaby się przypadkowym, bezmyślnie splątanym kłębem zdarzeń, imion i dzieł, nikomu na nic nie przydatnym inwentarzem sztuki, nie mającym nawet wartości encyklopedji. Tem większą wagę ma ów kątomiar dla psychologa, filozofa, krytyka i dla samego artysty, a wreszcie dla narodu, który za pośrednictwem swojej warstwy oświeconej, w czystem zwierciadle wyodrębnionych dziejów własnej sztuki, rozpoznaje duszę swoją i pochwytuje błysk samowiedzy, jako ożywczy promień gatunku i bytu metafizycznego. Gdy tak ta sprawa przedstawia się od strony odbiorczej i poznawczej, o ileż tedy więcej żywotności posiada od strony twórczej, w samym wzroście i rozroście sztuki, w warunkach, jakie sztuka na drodze rozwoju swego napotyka! Tu zaś nadewszystko rozstrzyga ten wzgląd, że sztuka musi być wytworem własnego ducha i własnych rąk narodu, a nie towarem od obcych nabytym lub otrzymanym. W wypadku obcości ważne jest „skąd", a nie „dokąd" przyszła. Ten podstawowy, najprostszy warunek sztuki, jako zwierciadła duszy narodu, historja sztuki ocenia należycie, kiedy, naprzykład, wyodrębnia pewien okres malarstwa polskiego, lub architektury, jako okres sztuki włoskiej, do Polski sprowadzonej, a nie zalicza danych dzieł do sztuki polskiej. I tak postępuje wszędzie. Uczciwość tego rodzaju nie wynika z pewnością z przesłanek natury moralnej lub narodowej, ale jest uczciwością, a raczej rzeczowością ściśle naukową, która kieruje się rozróżnianiem i szeregowaniem zjawisk badanych.

Z powyższych założeń ogólnych logicznie wynika stanowisko, jakie Polacy zająć powinni w stosunku do rozpanoszonej obecnie sztuki kryptożydowskiej. Ten towar, od dziesięciu lat podstępem i gwałtem kulturze polskiej narzucany, nietylko jest obcy, ale, nadto, prowokacyjnie złośliwy, w celach wrogich Polsce szerzony, a reklamowany, jako polski, jako, niby, z ducha narodu polskiego powstały. Sama obcość tej sztuki wystarcza, aby ją każdy człowiek myślący poza nawiasem kultury polskiej postawił. Jej usilne podszywanie się pod nazwę sztuki „polskiej", tembardziej wzmóc powinno nieufność naszą, ostrożność i stanowczość w wyznaczaniu jej miejsca daleko poza sztuką polską. A dalej złośliwość i jawnie bolszewicka wrogość sztuki kryptożydowskiej względem wszystkiego, co jest związane z kulturą grecko-rzymską, (której Polska jest jedną ze spadkobierczyń), a także względem wszystkiego, co jest narodowe, z tradycji polskiej płynące, — jeszcze raz w dwójnasób umocnić powinna naszą przeciwko tej sztuce wolę wyodrębnienia i odrzucenia. A wreszcie artystyczna i duchowa ohyda sztuki kryptożydowskiej, jej nietylko niskość buszmeńska, ale wręcz małpia paskudność dawno już powinna była odegnać od siebie ludzi nawet najmniej wymagających i najdobrotliwszych.

Pomimo tylu tak jasnych i przedmiotowych powodów, schodzące z pola życia, ale jeszcze rządzące, starsze pokolenie literatów polskich nie umiało się przeciwstawić najazdowi sztuki kryptożydowskiej, zwłaszcza — poezji, owszem — przyjęło ją z otwartemi rękami, kłaniało się jej i pochlebiało. I czyni to, chociaż w formie mniej jaskrawej, dotychczas. Wzamian, ze strony żydów otrzymuje wzgardliwe kopnięcia i splunięcia, ale to owych liberalnych i humanitarnych literatów złotego środka jakoś nie zraża. Jeszcze i dzisiaj jest p. Tuwim dla nich jednym z najwybitniejszych poetów polskich, a cała banda Watów, Witlinów, Sternów, Pomperów, Winawerów, Elsenbergów, Słonimskich i t. d. — czołową brygadą najnowszej literatury polskiej. Nie wiem, czy ten polski złoty środek literacki czyni to z tchórzostwa, czy z ostatecznej swojej demencji starczej. Tak czy owak wobec kultury polskiej postępuje nieuczciwie, a sam przedmiot swoich rozważań i sądów traktuje w sposób niezgodny z rozumem i rozsądkiem.

Następne pokolenie literatury polskiej wypowie swój na tę sprawę pogląd niedwuznacznie, a wykreślając całą sztukę kryptożydowską z historji polskiej, wyda również wyrok sprawiedliwy na tych, którzy w trudnych latach po wojnie światowej nie spełnili swojego względem kultury ojczystej obowiązku. Cały zaś ów towar kryptożydowski przed wyrzuceniem go na śmietnik, będzie zużytkowany najodpowiedniej, jako bezstronne, przedmiotowe zwierciadło, w którem odbiła się dusza jego twórców, dusza żydowska. Psotliwe żydki sporo narobiły hałasu, sporo napsuły nam powietrza, ale jednego nie przewidziały, że, mianowicie, *scripta manent*. Komu jeszcze były wątpliwe w istnieniu swojem, czy stopniu, liczne cechy paskudności duszy żydowskiej, ten je odczyta w literaturze kryptożydowskiej i z łatwością połączy z cechami najstarszych zabytków piśmienniczych narodu przebranego. A łączy je zasadnicza tożsamość, urozmaicona tylko nalotami różnych

form zewnętrznych. „Postępowy“ naród żydowski od swoich czasów jaskiniowych i od swoich historycznych paru tysięcy lat nie postąpił ani o krok w umysłowości swej i moralności. Sztuka nie kłamie, nawet gdyby chciała — kłamać nie może.

Zanim jednak to odczytanie duszy żydowskiej z jej sztuki uprzystępni się powszechności polskiej, piszące żydy mają trochę czasu, bawią się i urządzają sobie różne dowcipne rozrywki umysłowe. W latach „pomajowych“ ulubioną ich zabawą stała się wciąż projektowana i raz po raz plebiscytowana Akademja Literacka. Ostatni plebiscyt „Wiadomości Literackich“ wprowadził już do owej Akademji i pousadzał na fotelach dwa mendle żydów, okraszonych dwoma migdałkami nominalnych półżydów, jako-że ma to być Akademja polska. Prezesem jej będzie znany na asfaltowym bruku stolicy propagator homoseksualizmu, onanizmu i spędzania płodów. Wice-prezesem — pornograf i protektor literatury bolszewickiej. Sekretarzem — koprofag, który duszę swoją nazwał poetycznie „pełną kału kloaką“ (ten — zżydziały Polak). Podsekretarzem — ekskrementalista. Reszta członków — to całe *Qui-pro-Quo* i pół Perskiego Oka. W sali posiedzeń będzie wmurowana tablica ze słynnem hasłem p. Ajzyka Słonimskiego — *„Salve, Lenin!“* ozdobiona trójwierszem z ajzykowej Karmanjoli: „Twarze wam męczyć! Pyski prać! Byście poznali już, psia mać! — co to prawdziwa jest kultura!“. A pod spodem karabin p. Tuwima, strzaskany o łysą czaszkę prokuratora sądu polskiego. Woźnym tej Akademji będzie czołowy pisarz złotego środka polskiego.

Mogą się bawić — te żydy... Na pożywce bierności polskiej nawet kultury cholery spokojnie hodować można.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ECHA MEDYCKIE

ZWIERZENIA POETY

(Dokończenie)

WPŁYWY?—Zważywszy, że od dziesiątego roku życia byłem na pensji, której kierownictwo wcale dodatnio na wychowanie wpływać nie mogło, — musiałem instynktownie wychowanie własne uzupełniać: pamięcią domu i myślami o przyrodzie, które zaszczepił był we mnie jeszcze przedtem pewien drogi, dobry, cichy, mój nauczyciel domowy, a rozwijały Tatry. Wreszcie wytężyłem słuch na nauki, które choć mi nie były podawane, chłonąłem je pełnym tchem od duchów wysokich, a bliskich. Patrzyłem w ludzi żywych i zmarłych z tą samą uwagą, jeżeli ich miałem za swoich. Mój dziadek Mieczysław uczył mnie powagi życia, odpowiedzialności i wierności serca, tępiąc wszelkie „pseudo“, wszelkie udanie i kłamstwo wewnętrzne. Ojciec mój uczył mnie i uczy do dziś jasnej, a niezależnej myśli, szerokiego patrzenia na świat z wysokiego lotu. Wiem, że nigdy nie dorosnę do pracy i siły myśli mojego Ojca. Wiele, zapewne, nauk tych zmarnowałem, niemniej nie przestałem uważać ich za ewangelję. Coś, czego zdaje mi się z nikąd się nie nauczyłem, a co z moich własnych jakby, głębszych pokładów wyrasta, w czem czuję się inny i mocniejszy od innych, jest moja — jakby to powiedzieć — pierwotność. Źle to, czy dobrze, czuję się prymitywem w tem znaczeniu, że wszelką koncepcję zaczynać muszę od najprostszych uczuć, a sprawdzianem słuszności dla mnie jest to, co ma korzenie w naturze, nigdy zaś to, co ktokolwiek, najmądrzejszy choćby, powiedział, o ile to memu prymitywnemu poczuciu nie odpowiada. Z tego pojmowania nie dam się zawrócić i jest mi ono jedynem kryterjum sumienia. Zdaje mi się, że dochodzę prawie we wszystkiem do zgody z etyką ustaloną, ale dochodzę własną drogą. Kocham prawo, bo wynika ono z mego poczucia równowagi, a także z radości stroju wewnętrznego społeczeństwa, które uważam za organizm przyrodniczy. Tak samo i tembardziej, czuję odrębność gatunku, rasy i narodu. Jestem w złych warunkach do wypowiedzenia się i zdaje mi się, że nigdy nie miałem zdolności wypowiedzenia, odpowiedniej do do głębokości tego poczucia. Wiem jednak, i chciałbym to kiedyś powiedzieć, jak bardzo wierzę w Boga, Stwórcę tej nieskończonej harmonji i jak Go najbliżej widzę mojemi prostemi oczyma.

Przyszło mi na myśl przypadkiem porównanie — niech mi to przypadkowe zestawienie wielkiego imienia, gdzie chodzi o porównanie metody, będzie wyrozumiane — jaka jest różnica koncepcji, a raczej motoru twórczego Słowackiego idei najwyższej, idei „królowej“, jako dynamicznej siły świata, z ujęciem zawartem w moim „Głosie Mocy Nienazwanej“. Tę samą moc, „nienazwaną“ czuję przyrodniczo, że jest, czuję jej potęgę twórczą, bez której świat byłby trupem, ale dynamika jej nie ma u mnie źródła w moralnej, psychicznej protoplaźmie. Raczej odwrotnie; z poczucia natury, z prymitywnego wyczucia dochodzę do harmonji bytu, a stąd i do harmonji społecznej i moralnej. Zapewne, wszędzie wszelkim prapierwiastkiem rzetelnej myśli twórczej jest nieokreślona tęsknota serca, podczas jednak gdy u Słowackiego odrazu tworzy się intuicyjna koncepcja myślowa u góry, która potem wszystko ciągnie ku górze i przestrzeń pustą wypełnia, o tyle u mnie wszystko buduje się od dołu i rośnie jak drzewo. Może to jest niższy stopień, ale w mojem poczuciu bliższy natury i pewniejszy, a odpowiada mojemu bliższemu naturze wychowaniu.

Wreszcie wychowałem się na Królu Duchu, który uważam za największy poemat świata. Szczególnem jednak to, że znając go niemal na pamięć, i refleksją i odczuciem, podrabiając jego oktawy tak, że zwodziłem Kasprowicza, nie miałem nigdy inklinacji do pisania własnych rzeczy tą osłuchaną formą, — wogóle nie odpowiada mi wiersz jedenastozgłoskowy. Mimo że i Piotr Kochanowski był moim ulubionym pisarzem — nie wpadł mi w rytm jedenastozgłoskowiec. Nie mogę się w nim zmieścić. Intryguje mnie to tem bardziej, że mam styl bardzo zwięzły i tendencję do usuwania pleonazmów [oraz ubocznych myśli, w tym stopniu, że uważam to za wadę, z której próbuję się poprawić, bo jest to styl na dzisiejsze stosunki i sposób myślenia trudny do strawienia dla czytelnika... Otóż

moja oktawa jest trzynastozgłoskowa np. w przekładzie „Iliady” (naśladowano ją potem), tak samo moja tercyna i tak samo mój sonet. Ani rusz nie umiem pisać jedenastozgłoskowcem, mimo że się go najwięcej nasłuchałem. Ale tak samo nie umiem naśladować żadnej formy, choćby mi się najbardziej spodobało. To znaczy nie umiem jej sobie przyswoić dla mojej własnej treści. Wpadłem był kiedyś na cudowną septymę Tymona Zaborowskiego. Pokazałem ją Maryli Wolskiej i poddałem myśl napisania dwugłosu tą formą o dworze polskim i o tradycji. Ona wywiązała się z zadania nadzwyczajnie, a moje ustępy były niedociągnięte. Jej wiersze, drukowane w „Dzbanku Malin”, są jednemi z jej najpiękniejszych rzeczy, moje zaś jednemi z najgorszych moich, mimo że pomysł był mój. — Tak więc jestem niepojętny w nauce bezpośredniej, kto zaś nie korzysta z dobytku technicznego w tym względzie i robi sobie dopiero własne narzędzia, temu niewiele starczy czasu do właściwej roboty.

Naukowo interesowała mnie najbardziej od lat najmłodszych kwestja wyrazu, wszelkiego wyrazu w przyrodzie, wszelkiego znaku porozumiewawczego, aż do języka ludzkiego i do wszelkiej formy sztuki jako wypowiedzenia się człowieka. Zacząłem o tem pisać systematycznie, zgromadziwszy duży materyał studjów, które mi przeważnie w różnych złych czasach zaginęły. Dziś już radbym tylko módz opracować małą część tej nauki o wyrazie to jest poetykę i rytmikę. Drobne ułamki tych studjów *in statu nascendi* referowałem na seminarjum prof. Kallenbacha i referaty mojet, nagradzane przez ministerstwo, budziły duże zainteresowanie — ale i te fragmenty mi przepadły. Wrytmice doszedłłem do pewnych odkryć, rzucających, zdaje mi się, nowe światło na tę sprawę, którego, jak widzę, dotąd jeszcze nie przeczuwają ostatnie prace polskie i obce.

Ustęp zaś poetyki, poświęcony analizie potrójnej wartości słowa: symbolicznej, dźwiękowej i uczuciowej zacząłem od następującego zestawienia: podałem kilka tercyn z mego „Głosu Mocy Nienazwanej“, a następnie sparafrazowałem je w ten sposób, że treść logiczna i forma wiersza pozostają zupełnie niezmienione — ulatnia się z nich tylko do cna wszelki walor artystyczny.

Oto poemat pierwotny:

„Jam jest pierwszym rozmachem moc na glob rzucona!
Jam jest życia gwiżdżący dech przez suche kości!
Jam jest złota pochodnia wojny Gedeona!

Ze mnie mają żywota mus dębów paroście!
Ze mnie jest pierwszych komet siła rozpędzona,
Komet w niewymówione lecących wieczności!

Ze mnie pierwsze na otchłań wyrzucono prawo,
Które struchlałe gwiazdy jak liście zamiata
Świszczącą na biegunach niebieskich kurzawą!

Ze mnie jest pierwszy życia krzyk dziki do świata,
Który wstał nad przeszłości spoczielałych ławą,
Oddech ziemi, co wiatrem nad morzami lata!

etc.“...

a oto parafraza:

„Ja jestem pierwsza siła rzucona na ziemię!
Powiew życia idący przez suche szkielety!
We mnie zarzewie wojen niezgaszone drzemie!

Z mego popędu rosną brzozy i tacety!
Ja nadałem wszystkiemu ten ruch i to brzemię,
Którem po niebie śpieszą gwiazdy i komety!

etc.“...

Zaczynam zatem od analizy tych pierwiastków poematu, które wymykają się z pod określenai treści i formy w znaczeniu ogólnem, a których użyłem był naturalnie bez żadnej z góry obmyślonej formuły technicznej, ale idąc za poczuciem i słuchem, przyczem pracowałem i poprawiałem latami, tak długo aż wiersz wydał mi się odpowiadającym mej inspiracji.

Pierwszą mą książkę wydałem wcześnie, zupełnie, jak się później przekonałem, niedojrzałą, głównie z tą półświadomą intencją, aby przerzucić poza siebie moje różne gimnazjalne wierszyki. A dużo pomaga do krytycyzmu, zwłaszcza niewyrobionemu jeszcze pisarzowi, takie skonfrontowanie z drukiem swoich utworów. (Jest w tej książce tylko niezły pomysł do dobrej noweli). Potem już szybko postępowałem w wyrabianiu sobie formy. Piszę wolno i dlatego może, o ile wiem, co warta jest forma mego wiersza, w prozie nie dorównam bratu, którego uważam za jednego z najświetniejszych stylistów. Nie pisałem jednak wiele, może dlatego, że jestem za leniwy, aby opowiadać byle co, mówię więc tylko to, co ważniejsze. Dlatego także nie mam talentu do plotek. W życiu to dobrze, ale dla pisarza to źle. Unikałem też nazwy literata, nie czując zdolności ani ochoty do zawodowej pracy literackiej. Zajmował mnie przedewszystkiem świat żywy, a gadania o nim nigdy nie wyobrażałem sobie jako głównego celu życia, tylko jako funkcję potrzebną i wartościową dla pełnego człowieka. Jeszcze mniej czułem ambicji do druku. Jeśli zaś coś zrobiłem porządnie, co mnie cieszyło, to przedewszystkiem rad byłem, że mogę się tem podzielić z moimi bliskimi w domu, a nie z ogółem. Nie wyrobiłem w sobie ambicji ani temperamentu mówcy, choć z drugiej strony pragnąłbym bardzo niektóre zdobycze po sobie pozostawić, by przetrwać i by zostawić je na pożytek tym, którzy mi są lub będą się czuli bliscy. Niejedno zresztą — zda mi się — że poza brzeg mego życia się przelewa i chciałbym, by nie poszło na marne. Nie wiem jednak, czy podołam. Na ciągłej robocie w innych dziedzinach czas zaprzątając, a w dziedzinie literackiej dbając przedewszystkiem o efekt całości, o to, by innych skupiać i prowadzić, o to, by rzecz była dobra, ktokolwiek ją napisze, budując „Lamusa“ i „Bibljotekę Medycką“ straciłem rutynę pisania i utrudziłem się setnie! Czuję w sobie jakiś zasób, któremu nie wiem, czy dam kiedy wyraz, i jakiś rozpęd zatrzymany, skłębiony przed zatorem codziennych spraw i kłopotów.

Wreszcie zabrakło mi wiernego przyjaciela, przewodnika z początku, a potem towarzysza, z którym przez ćwierć wieku prawie ramię w ramię radziłem i pracowałem: Maryli Wolskiej.

Tak więc starałem się opowiedzieć tu szczegóły z mego pisarskiego życia, by dać obraz, jakie okoliczności wpływać mogą na taki czy inny rozwój czyjejś działalności piśmienniczej, zarówno jak dać wyraz mojemu sposobowi myślenia. Możnaby dla zaokrąglenia dodać ustęp o tem, co zamierzam. O, zamierzam wiele, za wiele, i z wielu zamierzeń muszę ciągle rezygnować... Cóż, kiedy ciągle przybywają nowe...

Medyka MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Wskaźnik historyczny. — Jaki tryb życia rokowaliśmy sobie, stanowiąc prawa, a jak wypadło w praktyce. — Zdziwienie, że szkiełka nie są brylantami. — Nauka brzeska.

WSŁUCHUJEMY się z przerażeniem w echa obrad parlamentarnych. Dolatuje nas przez dzienniki głos p. Stanisława Strońskiego w komisji prawniczej Sejmu z dn. 20 stycznia, a relacje jego brzmią w ten sposób („Kurjer Warszawski"):

„Więźniowie byli bici. Bicie pos. Liebermana i pos. Popiela jest dokładnie przedstawione w interpelacji sejmowej. Dn. 11 września pos. Bagiński, wezwany na korytarz celem oddania dokumentu, przedtem wręczonego przez sędziego, został uderzony w twarz przez oficera. Dn. 6 października pos. Korfanty, który siedział z p. Dębskim, wezwany został przez żołnierza, aby on wyniósł kubeł do ustępu, gdzie poszedł za nim oficer, który tam oderzył go cztery razy pięścią w twarz. Następnie pchnął go na ścianę, tak, że poseł Korfanty doznał wstrząśnienia nerwowego; potem został wtrącony do osobnej celi; na drugi dzień był w celi z posłem Popielem, który widział ślady uderzeń na twarzy pos. Korfantego.

Pos. Aleksander Dębski został w nocy z 11 na 12 października sprowadzony na dół do celi osobnych równocześnie z innymi posłami. Następnie inni wrócili na górę. Po pół godzinie usłyszał kroki z korytarza, zgaszono światło w jego celi, weszło trzech ludzi, z których jeden uderzył go w głowę tak, że upadł na łóżko. Rozebrano go, a na plecy położono mokrą płachtę i zaczęto bić jakąś pałką. Wówczas weszła czwarta osoba, oficer, którego głos poznał p. Dębski, a gdy bijący liczyli uderzenia, on wołał: „Za marszałka, za Gdynię, za Obóz Wielkiej Polski". Doliczono około 30 uderzeń i p. Dębski pod koniec zemdlał".

W parę dni potem, 23 stycznia, do dyskusji na ten temat dołączył swój głos w Komisji budżetowej kierownik ministerjum spraw wojskowych gen. Konarzewski. Nie kwestjonując faktów, których próbkę wyżej przytoczyliśmy, zajął wobec nich stanowisko następujące („Kur. Warsz."):

„Stwierdzam, że każdy wojskowy, który pełnił służbę w Brześciu, pełnił ją pod kontrolą władz przełożonych oraz zgodnie z obowiązującemi przepisami i regulaminami".

Słowa te poruszyły opinję publiczną, nie spodziewano się tego zalegalizowania i nie przypuszczano, że przepisy i regulaminy polskie mogą w tym duchu być ułożone. Znany przecież jest każdemu liberalizm i humanitaryzm natury polskiej, a zwłaszcza nastawienie umysłów w tym kierunku w początkach odbudowy państwa. Uchwalona w atmosferze tych ideałów równości, wolności i braterstwa konstytucja dlatego właśnie podlega takiej krytyce. Ale jeszcze nie została zmieniona, trwają w swej mocy przepisy i regulaminy w jej ramach ustanowione. Czyż więc naprawdę tak może być, żeby wyłuszczone fakty, o ile tyczą oficerów, były wzorem spełnionego obowiązku służbowego? Pytanie to skłoniło mnie do wydobycia z bibljoteki „Regulaminu służby wewnętrznej" (Zarys. Część I i II. Warsz. 1924) z r. 1924, wydanego przez Minist. Spraw Wojskowych.

Przeczytałem tę książeczkę z wielkiem zadowoleniem. Regulamin przywodził mi na pamięć dawne zasady Katechizmu Szkoły Rycerskiej z końca XVIII wieku. Przeczytajmy razem niektóre punkty:

„Siła zbrojna Rzplitej stoi na straży jej całości, niepodległości, godności oraz porządku prawnego, stanowi rękojmię obrony Ojczyzny przeciwko wszystkim jej nieprzyjaciołom. Nieprzyjacielem jest obce państwo, godzące w całość, niepodległość i godność Rzplitej. Nieprzyjacielem są także wrogie Państwu czynniki wewnętrzne, dążące do obalenia przemocą praw, ustroju państwowego i ładu społecznego, ustalonego konstytucją" (I,4).

Ta ostatnia część zasady wzięta była na próbę w r. 1926, w dwa lata po jej ustanowieniu, ale pozostała w wydaniu z r. 1927 na to, abyśmy pamiętali, gdzie zrobiła się szczelina, do której pogłębienia życie teraz dąży:

„Żołnierz polski musi się przeniknąć głęboko poczuciem szczytności swego zawodu. Wybrany na obrońcę Ojczyzny uosabia tradycję dawnych poczynań rycerskich Rzplitej, zwraca ubiorem oczy wszystkich na siebie, reprezentuje poniekąd godność Rzplitej. Jego życie, zachowanie się w służbie i poza nią musi wypływać z zasadniczych cnót żołnierskich" (I,9).

„Źródłem wszystkich cnót żołnierskich jest miłość Ojczyzny. Żołnierz polski, który ocenia dobrodziejstwa istnienia państwa własnego, nie będzie mierzył swoich poświęceń, wszelkie trudy i ciężary poniesie łatwo, a konieczność ich stanie się zrozumiałą. Nosząc ubiór obrońcy Rzeczypospolitej, wie, że wartość człowieka wogóle, a żołnierza w szczególności wynika z jego honoru, t. j. poczucia godności osobistej, oraz godności stanu, do którego należy. Honor był i będzie źródłem czynów i poświęcenia żołnierza polskiego; hasło wypisane na znakach naszych „Honor i Ojczyzna" stanie się jego dźwignią. Z miłości ojczyzny, z poczucia honoru, wypływa wierność żołnierza" (I,10).

„Żołnierza polskiego obowiązuje odwaga, nie tylko w czynach, ale i w mowie. Człowiek odważny przyzna się zawsze do winy i weźmie za nią odpowiedzialność. Żołnierz mówi śmiało prawdę—z pogardą dla kłamstwa" (I,16).

„W jeńcu nieprzyjacielskim żołnierz widzi człowieka pozbawionego możności obrony. Prawdziwy żołnierz nie nadużywa swej przewagi nad bezbronnym nieprzyjacielem, tembardziej nie będzie się nad nim pastwił" (1,19).

„Żołnierz polski szanuje godność każdego człowieka. Nie wyrządzi nikomu krzywdy" (I,23).

„Żołnierz polski powinien pamiętać, że jest sługą narodu polskiego, jako całości, a nie poszczególnych jego warstw, stronnictw czy ludzi. Dlatego też żołnierzowi w czynnej służbie nie wolno brać udziału w żadnej działalności politycznej" (I,28).

„Oficerowie stanowią rdzeń wojska. Społeczeństwo powierza im swą młodzież w celu wykształcenia jej w zawodzie żołnierskim. Na każdym oficerze spoczywa zatem odpowiedzialność przed narodem i państwem za wychowanie obrońców całości, niepodległości i wolności oraz prawa i porządku".

„Praca dla Rzplitej i Jej siły zbrojnej dozwolona jest wyłącznie na drodze jawnej i legalnej. Należenie do tajnych związków, organizacyj, stowarzyszeń i t. p. wszelkiego rodzaju i pokroju, bez względu na ich cel i zakres działania, jest żołnierzowi bezwarunkowo wzbronione. Niniejsze postanowienie regulaminu obowiązuje prawnie i moralnie cały korpus oficerski.

„Wartość oficera stanowi o wartości wojska, musi więc on wyrobić w sobie przez nieustanne kształcenie się i ćwiczenie wszystkie cnoty żołnierskie w najwyższym stopniu. Jego tężyzna moralna, umysłowa i fizyczna powinna być wzorem dla podwładnych" (II,2).

„Przełożonemu nie wolno wydawać rozkazów w sprawach nię związanych ze służbą" (II,16).

„Podwładny ma obowiązek nie wykonać tylko takiego rozkazu, który nakazuje dokonanie czynności, ściganej przez ustawy karne" (II,28).

„Podwładny może w ważnych wypadkach prosić rozkazodawcę o rozkaz na piśmie" (II,29).

Duch i litera tego regulaminu bardzo się różnią od ducha i konkretności faktów, które zaszły. Ta różnica jest wskaźnikiem, w którą stronę posuwa się nienormalność stosunków, na jakiej drodze jesteśmy z „pogłębianiem rewolucji". Całkowite zsolidaryzowanie się sfer sfer sanacyjnych ze sprawą brzeską świadczy, że zdecydowały się już bez osłony gazowej pozorów przełamać ustrój naszego życia w podstawach cywilizacyjnych. Zapowiadane oddawna zmiany w ustroju państwowym, choćby

nawet szły jaknajdalej, nie mogłyby wywołać tak głębokiego konfliktu z duszą społeczeństwa. W ramach takiej czy innej konstytucji usłać można gniazdo rozwojowi życia sprzyjające, wszystko bowiem zależy od budowy człowieka moralnego; ale gdy tego człowieka się zepsuje, to wtedy żadna konstytucja państwa nam nie pomoże: w każdej zmarniejemy.

Sprawa brzeska jest katastrofą, wywołaną przez nieostrożne obchodzenie się z aparatem rąk niepowołanych. Teraz dopiero nieroztropni i nieukształceni politycznie ludzie, którzy walczyli z obozem narodowym o elementarne pojęcia w zakresie zagadnień: jednostka — naród — państwo, zaczynają snuć refleksje, że jednak jest jakaś moc duchowa, mająca nad państwem suwerenność: mianowicie człowiek organizowany duchowo. Taki człowiek nazywa się Naród.

Kilka lat trwała moda likwidowania życia na rzecz państwa. Celowali w niej ludzie ze sfer oświeconych, ale słabego ducha, radzi oddać się z zamkniętemi oczyma w administrację czynnikom państwowym. Hasło etatyzacji rozlało się falami po wszystkich zatokach życia; państwo jedno ma pieniądze, moc, myśl; „sanacja" wydawała się prostą operacją upaństwowienia, jak w Bolszewji; zrzekano się nawet myślenia: jeden człowiek miał podobno myśleć o wszystkiem.

Tam, gdzie niepodobna wytłumaczyć ludziom, że brylantów nie należy kupować na ulicy od „kombinatorów", bo to są szkiełka, tam można zawsze liczyć na powodzenie tanich, symplistycznych teoryj społecznych. Stało się gorzej, bo literaci podjęli się kolportowania szkiełek. W Warszawie już niemożliwą stała się dyskusja o rzeczach ludzkich. Literaci, wspominający o narodzie, byli w pogardzie, udawano się do kawalerzystów po protekcję w sprawie Akademji literackiej; uznano, że tylko państwo może wziąć na siebie przemysł, wychowanie dusz, sztukę. Wszystko likwidować, poczynając od pracy stronnictw — oto hasło, oczywiście dające się zrozumieć tylko w związku z założeniem, że się jest narodem idjotów.

Dopiero teraz cios, w sumieniu zadany, oprzytomnił ludzi uczciwych. Oto p. Marja Dąbrowska, zbierając niejasne wyobrażenia o państwie, robi nieśmiało takie uwagi („Wiadomości Literackie"):

> Zastrzegając, że nikt nie może podawać w wątpliwość całożyciowej troski marszałka Piłsudskiego o dobro narodu,— musimy przyznać, że wykonawcy jego idej pojmują tę parabolę (mowa o „bigosie" z wywiadu) w sposób, narzucający pytanie: a co zostaje dla społeczeństwa, dla którego konstytucja przedewszystkiem jest pisana? Ważne jest, jak mają się urządzić trzy władze państwowe, aby sobie nie wchodzić w drogę. Troska o czwarty czynnik państwa, o los człowieka i obywatela, znikła niespostrzeżenie z umysłu mężów stanu".

Państwo jest wozem, ale dlaczego autorka robi naród czwartem czy piątem kołem u wozu? Naród siedzi na wozie, jest jego panem. Taki ma wóz, na jaki go stać, ale nie na to, aby być pod wozem, Pani Dąbrowska stawia zupełnie prawidłowo pytanie:

> „Czy maszyna państwowa, zagarnąwszy pozornie i formalnie w swoje tryby wszystkie dziedziny życia i operując niby to masami i wielkiemi cyframi, nie utraciła w gruncie rzeczy łączności z prawdziwem życiem narodu, z jego duszą? I czy nie kołacze w próżni, tkając powietrze, jak warsztaty w bajce Andersena o nowych szatach cesarza?".

Zaczynamy nareszcie myśleć. Potrochu, przez ciężkie doświadczenia, dojdziemy do poznania prawdy, przywracającej narodowi jakąś rolę w życiu. Było modnie stroić się w szkiełka poglądów socjologicznych, fabrykowanych na użytek przewrotu majowego. Zetatyzowały się nietylko lasy i fabryki, ale i dusze polskie; a teraz się dziwimy, że utracona została „łączność z prawdziwem życiem narodu, z jego duszą". Może więc smutne wydarzenia brzeskie czegoś nauczą, mianowicie tej prawdy, że państwo jest funkcją ogólniejszego procesu, a tym procesem jest życie cywilizacji narodu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA GEN. SIKORSKIEGO

DZIEŁO „Polska i Francja" gen. Wł. Sikorskiego[1]) ukazało się we właściwym czasie. Obecny okres w polityce międzynarodowej należy do najburzliwszych, jakie obserwowaliśmy od czasów wojny. Doszliśmy do momentu zwrotnego, w którym struktura Europy przybierać zaczyna kształty nowe. Nowy porządek rzeczy wywołuje tem większy obowiązek skupienia się w Europie tych czynników, które zdają sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Jasna i trzeźwa ocena sytuacji jest warunkiem rozumnej linji naszej polityki. Wiemy, ile sił działa przeciwko nam i to nietylko po stronie jawnych naszych wrogów, ale i w państwach przyjaźnie do nas usposobionych. Dyskusja na temat rewizji granic Polski toczy się jawnie nietylko w prasie niemieckiej, ale nawet w niektórych organach francuskich.

Niestety — oficjalna nasza polityka popełnia błędy. Pomijając brak energicznej propagandy z naszej strony przeciwko uroszczeniom niemieckim—zauważyć się daje od czterech lat jakgdyby konsekwentne i celowe lekceważenie przyjaciół. Drażniące niedociągnięcia i niedomówienia, nieraz wprost niewłaściwe i wprost niezrozumiałe stanowisko, połączone z bardzo podejrzanemi eksperymentami w polityce włoskiej i węgierskiej — składają się na smutne rezultaty, których głównym owocem jest oziębienie się stosunków z Francją.

Na tem tle książka „Polska i Francja" nabiera właściwego znaczenia. Brakowało w naszej literaturze politycznej rozprawy, któraby zestawiała historyczny nasz stosunek do Francji i oświetlała tradycje wzajemności polsko-francuskiej. Książka przynosi szczegółowy rozbiór wypadków współczesnych i przez to stwarza pełny obraz potrzeb i nakazów chwili — dla Francji i dla Polski.

*

Polityczny charakter książki gen. Sikorskiego i zainteresowania jej autora, jako wojskowego, nie pozwoliły mu rozwinąć całokształtu wiekowych stosunków Polski i Francji na polu kulturalnem.

Nie zawsze ten naturalny związek cywilizacyjny znajdował wyraz w polityce. Polska nie miała szczęścia w polityce zagranicznej. Zbyt często dawała się używać do realizowania celów niejednokrotnie sprzecznych z jej własnemi. Wzamian za to nadawano jej honorowe tytuły i podniecano w ten sposób ambicję narodową, która mogła była zwrócić się nieraz w korzystniejszym dla interesów polskich kierunku.

Nasze wojny z Turcją były główną przeszkodą, leżącą długo na drodze zbliżenia polsko-francuskiego. Nie umieliśmy wyzyskać konfliktu habsbursko - francuskiego, aby odegrać pierwszorzędną rolę na wschodzie Europy, z drugiej strony Francja nie potrafiła również zyskać sobie Polski jako swego sprzymierzeńca przeciw Habsburgom. I chociaż były jaśniejsze momenty na tym odcinku polityki międzynarodowej, to

[1]) Generał Władysław Sikorski. „Polska i Francja w przeszłości i dobie współczesnej". Lwów 1931. Wyd. zakładu im. Ossolińskich.

jednakże jakieś fatum w różnych postaciach nie pozwoliło do końca stworzyć jednolitej polityki polsko-francuskiej w ówczesnej Europie. Niewątpliwie odegrały tu swoją rolę intrygi państw niemieckich, które już wówczas pojmowały niebezpieczeństwo takiego porozumienia.

Zwięźle ale wyczerpująco ujęta jest historja tych spraw w książce gen. Sikorskiego i czyta się ją tem chętniej, że tyle nasuwa analogij do dni dzisiejszych.

To też ta część rozprawy jest cennym wstępem do zrozumienia dalszych.

*

Ustępy, omawiające w książce „Polska i Francja" politykę polską w czasie ostatniej wojny, wywołują poważne zastrzeżenia. Pisane są jakby jeszcze w atmosferze walki, która się w latach 1914-1918 toczyła u nas o t. zw. „orjentacje", walki, w której autor książki brał żywy i bezpośredni udział.

Na początku jednak należy podnieść, że w książce gen. Sikorskiego widzimy znaczną i bardzo poważną ewolucję w poglądach ze strony jednego z przedstawicieli tego obozu politycznego, który w okresie wojny usiłował był związać interesy polskie z polityką austro-niemiecką. Bodaj czy nie po raz pierwszy we współczesnej literaturze politycznej przedstawiciel obozu tego, przez omawianą książkę, zeszedł z dotąd zajmowanego i uporczywie przez tę grupę bronionego stanowiska i poddał częściowo krytycznej ocenie politycznej wartość Legjonów, N. K. N. i całej orjentacji polsko-niemieckiej.

Jest jednak jeszcze ciągle dla gen. Sikorskiego „fakt dokonany przez Piłsudskiego 6 sierpnia 1914 r." zdarzeniem o „znaczeniu historycznem". Wprawdzie, jak autor przyznaje, wszystkie rachuby na powstanie w b. Kongresówce zawiodły, a „nastroje mas robotniczych Zagłębia okazały się odmiennemi od nastrojów 1905 roku", wprawdzie sytuacja, wytworzona zaraz w pierwszych dniach, postawiła „Piłsudskiego i towarzyszy przed katastrofą" — to jednak ciągle jeszcze usprawiedliwia on tę nieszczęsną inicjatywę, chociaż przyznaje, co jest zgodne z opinją Dmowskiego w „Polityce Polskiej", że „w r. 1914 austrjackie sfery wojskowe interesowały się raczej dywersyjnym ruchem zbrojnym na terenie Kongresówki, aniżeli formacjami tworzonemi w Galicji".

W ocenie jednak roli Legjonów pisze gen. Sikorski:

„Legjony Polskie w takich warunkach nie będą mogły odegrać roli zaczynu decydującej o losie narodu siły zbrojnej. Legjony zatem cel swój dopięły jedynie drogą pośrednią. Spełniły mimo to swą misję historyczną, odegrawszy rolę jednego z czynników, dzięki którym zmartwywstanie Polski stało się z biegiem wojny sprawą międzynarodową i powszechną. Niezależnym od nas zbiegiem okoliczności, bijąc się w tym czasie o własną wolność, walczyliśmy równocześnie przeciw sojusznikowi Francji. Było to następstwem ówczesnego układu sił międzynarodowych oraz faktu, że pozbawieni jakiejkolwiek pomocy zewnętrznej, obowiązani byliśmy myśleć o wydobyciu sprawy Polski z zapomnienia. Organizując własny wysiłek zbrojny, mogliśmy go oprzeć początkowo jedynie na Galicji. Podstawę zaś do czasowego rozrostu Legjonów można było znaleźć następnie tylko w dzielnicy rosyjskiej. Stąd oswobodzenie jej z jarzma rosyjskiego, co było ponadto tradycją polskich walk wyzwoleńczych ostatnich stuleci, zdawało się nam koniecznością historyczną, jeżeli Wielka Wojna miała dać istotnie Polsce niepodległość".

Gdzie jak gdzie, ale w książce, w której znajdujemy tak przekonywające i doskonałe uzasadnienie h i s t o r y c z n e zasadniczego błędu polityki polskiej, która tylokrotnie bezpotrzebnie i z wyraźną własną szkodą angażowała się na Wschodzie, stając się świadomie czy nieświadomie narzędziem polityki niemieckiej — ten punkt widzenia nie powinien był być wyrażony. Cała ideologja i program polityczny obozu „tradycji walk wyzwoleńczych", t. j. kierunku antyrosyjskiego, popełniały w okresie naszej zależności politycznej jeden podstawowy błąd: uważano, że dla narodu, nie mającego własnej państwowości, obojętne jest doświadczenie z okresu istnienia samodzielnej polityki państwa. Obóz ten budował politykę niezależną od ubiegłych wieków, jakgdyby idea narodu szła po innych szlakach w okresie niepodległości a po innych w okresie niewoli. Ludzie ci nie wierzyli w istnienie nieśmiertelnego genjuszu i ducha narodu, zawsze jednego i w samej istocie swej niezmiennego. Nie uczyli się niczego z historji, nie pamiętali o naszych klęskach i zwycięstwach. Tem się tłumaczy, że mało ich obchodziło morze polskie, Poznańskie, Śląsk i zachód polski. Wpatrzeni byli w „tradycję walk wyzwoleńczych", które, jakgdyby na ironję, były typowym przykładem politycznej bezmyślności, w czem tkwiła zresztą główna tajemnica ich klęsk.

I właśnie przez to, że Legjony Piłsudskiego były niczem innem, jak niedołężnem naśladownictwem „tradycji walk wyzwoleńczych", chciały rozbijać Rosję—nie odegrały one pozytywnej roli politycznej. Bo prawdziwą przesadą jest przypisywanie im pośredniej chociażby zasługi w wyniesieniu sprawy polskiej na teren międzynarodowy. Militarnie nie reprezentowały żadnej siły, politycznie były błędem, który dał się odrobić tylko dzięki klęsce Niemiec. Gdyby zaś nie rewolucja rosyjska, sprawy polskie potoczyłyby się innemi torami. „Polityka niepodległości—pisze Dmowski—nie jest ta, która o niej mówi, ani nawet ta, która jej tylko chce, tylko ta, która do niej prowadzi i ma jakiekolwiek widoki powodzenia". Ani nie prowadziły wcale do niej drogi, ani nie miały widoków powodzenia zamiary Piłsudskiego i jego obozu. Zarówno na wypadek zwycięstwa Niemiec jak i w razie ich klęski, były, co się zresztą okazało, fatalną omyłką historyczną.

„Dla Polski — czytamy w „Polityce Polskiej" — zguba Rosji wcale nie jest potrzebna, przeciwnie, dla nas konieczne jest istnienie Rosji zdrowej, silnej, rozwijającej się pomyślnie na zasadach wspólnych wszystkim narodom europejskim".

Pierwszem zadaniem polskiej polityki zarówno w pierwszym dniu W. Wojny, jak i dzisiaj, jak i setki lat przedtem, było osłabienie potęgi niemieckiej. Ten kanon polskiej myśli politycznej obowiązuje nas zawsze, a ilekroć od niego odstąpiliśmy, popadaliśmy w narodową katastrofę. Były nią Legjony i tylko zwycięstwo wojsk aljanckich uratowało nas od konsekwencyj ich błędu. Obóz proniemiecki rozumiał chwilami tę prawdę. Piłsudski pisał do marszałka Focha w dniu 13 grudnia 1918 r.:

„*Comme Polonais, je sais, et tiens à vous le dire, que cest à vos armées que je dois la liberté de ma Patrie, et j'en éprouve la plus grande reconnaissance*".

Polityka Legjonów była jakby zamknięciem okresu naszego „frontu na wschód", przerwanego na krótko potem wyprawą kijowską. Na samym wstępie niepodległości była ostrzeżeniem, że powtarzać błędów historji nie wolno.

I jeśli mobilizujemy dziś uwagę naszą na zachód, jeżeli tam gromadzą się największe chmury i stamtąd spodziewamy się ataku — to żadną miarą usprawiedliwiać polityki Legjonów nie można, bo jest to rozgrzeszanie z tego grzechu, który winien nazawsze nas odstraszać.

Jest dużym postępem, że w książce gen. Sikorskiego nie jest stosowana zasada wyłączności zasług legjonowych, nawet w zakresie budowy armji. Historja robi swoje. Sukces jej będzie jednak pełny, jeżeli znaczenie szeregu zjawisk w polskiej polityce w okresie W. Wojny sprowadzi się do właściwej wielkości.

*

Właściwa jednak wartość nowej książki tkwi w jej trzeciej części, gdzie jest mowa o znaczeniu sojuszu polsko-francuskiego i wypadkach w Europie w latach ostatnich. W tym zakresie książka ma doniosłe znaczenie. Gen. Sikorski, który spędził ostatnio wskutek „zbiegu okoliczności" dłuższy czas we Francji, zetknął się bezpośrednio z całą misternie splataną siecią arkanów polityki międzynarodowej, jaką zarzucają Niemcy na Europę. Z precyzyjną szczegółowością i znawstwem przedmiotu omówione zostały i poddane krytyce wszystkie te etapy polityki międzynarodowej po Traktacie Wersalskim, które pozwoliły Niemcom wydostać

się na powierzchnię życia Europy. Trzeba przeczytać tę książkę, aby mieć cały obraz wielkiego szantażu, jakiego dopuszczają się Niemcy wobec świata i jakim grożą w pierwszym szeregu Polsce.

Książka gen. Sikorskiego winna wywrzeć w Europie duże wrażenie. Ponieważ świat nie słyszy obecnie opinji ani ministra spraw zagranicznych ani Sejmu ani innych czynników oficjalnych — głos jednego z najwybitniejszych dowódców wojny r. 1920 powinien stać się dla niego ostrzeżeniem, że Polska zdaje sobie sprawę z zamierzeń niemieckich, że wie, gdzie posiadają one sprzymierzeńców i że nie dopuści żadną miarą do jakichkolwiek prób rewizji granic Państwa. Głośnem echem musi się to ostrzeżenie odbić we Francji, gdzie znane siły podważają zaufanie do Polski a pośpiesznie budują pomost francusko-niemieckiego porozumienia.

Dzieło „Polska i Francja" jest w sam czas podjętem przypomnieniem, że równowaga sił i istnienie pokoju opiera się na ścisłem porozumieniu francusko-polskiem i rozluźnienie jego węzłów zagraża bezpieczeństwu całego świata. To jest wielka i bezsprzeczna zasługa ostatniej pracy generała Władysława Sikorskiego.

KLAUDJUSZ HRABYK

RUCH WYDAWNICZY

Księgarnia „Trzaska, Evert i Michalski" wydała wspaniale piękną książkę znakomitego pisarza rosyjskiego, Dymitra Mereżkowskiego, p. t. „Napoleon" (str. 326 z licznemi ilustracjami, przekład p. Pawła Hulki-Laskowskiego). Niezwykłej tej książce poświęcimy w naszem piśmie więcej miejsca, teraz zaznaczamy tylko, że składa się ona z dwóch części, mianowicie z życiorysu i charakterystyki Napoleona. W jednej i drugiej zresztą autor traktuje Cesarza Francuzów nietylko jako genjalnego wodza, nietylko jako organizatora chaosu rewolucyjnego, lecz także jako człowieka przeznaczenia, wysłańca niebios, który dążył do zjednoczenia ludzkości i t. p. Znanym mesjanistycznym tęsknotom pisarza rosyjskiego należy przypisać głównie tę religijną niemal cześć, jaką autor żywi dla Napoleona, — stąd też, przypisywanie mu zamiarów i celów, jakich mógł nie mieć. Ale książka ta o wiele przenikliwiej sięga w głąb duszy wielkiego Cesarza, niż stosy dzieł dotychczas o nim napisanych. (W. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W książce p. t. *„La France est—elle défendue"* („Czy Francja jest broniona?") autor, p. Florent-Matter zwraca uwagę na fakt, że Niemcy dzięki propagandzie, prowadzonej od zawieszenia broni, przy pomocy potężnej prasy swojej, swoich banków, dyplomacji i t. p. środków, osiągają stopniowo cele, do których konsekwentnie zmierzają.

Wobec słabej reakcji na to wszystko ze strony francuskiej, autor proponuje utworzenie czegoś w rodzaju ministerstwa Ekspansji francuskiej, instytucji, słowem, która byłaby zdolna przeciwdziałać, na wszystkich polach, wrogiej propagandzie Niemiec. Książka ta wyróżnia się wybitną znajomością kierunków i dążeń opinji Niemiec powojennych. (W. J.)

*

Pisarzom-polemistom francuskim XIX wieku, poświęcił swoją, ostatnio wydaną, książkę p. André Billy (*„Les Ecrivains de Combat"*). Na tle historycznem walk prasowych o idee, któremi poruszone było społeczeństwo francuskie ubiegłego stulecia, przedstawia autor szereg głośnych w swoim czasie szermierzy pióra, którzy zasłynęli jako pierwszorzędni polemiści, a często i jako pamfleciści. Przeciągają tu przed czytelnikiem pisarze z pod rozmaitych chorągwi, tacy jak: Paul-Louis Courier, Veuillot, I. Vallès, Rochefort, Drumont, Cassagnac, Leon Bloy. Mirbeau, Barrès i w. innych. Autor utrzymuje, że polemika ideowa prawie zniknęła w ostatnich czasach na łamach pism francuskich, z wyjątkiem chyba jednej *„L'Action Française"*, która posiada dwuch tak wybitnych polemistów jak Ch. Maurras i Leon Daudet Książka A. Billy odznacza się bezstronnością i dobrze umotywowaną oceną ludzi oraz ich dzieł. (W. J.)

*

Ciekawe zestawienie czyni pismo hiszpańskie *„La Gaceta Literaria"*. Pisze mianowicie, iż w przeciwieństwie do komedjopisarzy francuskich, którzy atakują złośliwie instytucję ogniska domowego i małżeństwa, hiszpańscy, przeciwnie, starają się właśnie jaknajbardziej wzmocnić je. (F. B.)

TEATR

NOWA KOMEDJA ST. MIŁASZEWSKIEGO

TEATR Narodowy wystawił komedję Stanisława Miłaszewseigo „Piękne Polki", osnutą na tle wypadków r. 1806.

Z pośród pisarzy dramatycznych naszej epoki Stanisława Miłaszewskiego wyróżnia wysokiej wartości artyzm poetycki, a powtóre postawa jego wyobraźni. Zwrócona ona jest na pół obrotu ku przeszłości; więc gdy sięga do życia po materjał dramatyczny, to mu się nasuwa wątek o kilka stajań wstecz w przeszłość polską. To przeczucie obecności historycznej ma niezmierny urok, nie zawsze zrozumiały dla tych, którzy żyją chwilą bieżącą bez odpowiedzialności wobec historji.

Miłaszewski jest pisarzem rasowym. Rasę określa nie tylko krew, ale i duch, przedewszystkiem duch. Rasę bowiem wytwarza kultura duchowa, będąca rezultatem pracy pokoleń na usługach cywilizacji narodowej. Ludzie rasowi żyją akordami, łączącemi przyszłość z dniem wczorajszym. To już ich sposób ujmowania życia.

Artyście rasowemu mimowoli narzuca się z dziejów ten motyw życia, który w rozwoju cywilizacji grał rolę dodatnią. Miłaszewski nie chce być historykiem, ale poprostu ma pociąg estetyczny do pewnych motywów historycznych. Ten instynkt daje mu łatwe pole porozumienia się z ogółem narodowym, stylizowanym w tym samym duchu przez dzieje.

Oto sekret sympatji, którą cieszy się Miłaszewski.

Z motywów przyswojonych stylowi kultury polskiej najbardziej dodatnie i sympatyczne zawdzięczamy cywilizacji łacińskiej. Miłaszewski ma pod tym względem poczucie nieomylne; wszystkie jego dzieła dramatyczne korespondują z zachodem romańskim. W poczuciu dziejów Polski instynkt jego historyczny zlewa się z politycznym, zwłaszcza jeśli chodzi o Francję.

W ostatniej swojej sztuce dał wyraz sympatjom swoim dla tego okresu, kiedy Francja wespół z nami prowadziła całą serję „wojen polskich" przeciwko naszym zaborcom. Z walk polskich XIX wieku najwięcej ta miała w sobie zdrowej myśli politycznej i do względnie najlepszych doprowadziła rezultatów; a ta myśl, związana z nazwiskami Dąbrowskiego i Wybickiego, oparta była na tym samym zmyśle zachowawczym, dla którego najcenniejszym sojuszem był zawsze i będzie sojusz Polski z Francją.

Tem się tłumaczy urok imienia Napoleona w Polsce, jako symbolu tego historycznego stosunku dwu armij i dwu cywilizacyj. Miłaszewski pisał swoją sztukę pod urokiem tych tradycyj, nie z innego powodu tylko z czysto poetyckiego. Mamy na to dowód w charakterze obrazów, które tworzy jedynie z potrzeby uplastycznienia wizji ówczesnych stosunków, z potrzeby delektacyjnej.

Wielu z nas ma żywe po dziadach tradycje tych czasów; wiem, że był w grenadjerach Miłaszewski, słynny w wojsku z talentu poetyckiego. Potomek jego wraca w te czasy, jak do swego domu i przypomina. Robią mu zarzut że wprowadził *par force* Napoleona na scenę. Trzeba zrozumieć, że dla poety tej epoki nie ma obrazu, gdzieby tej postaci nie było na pierwszym planie. Jeśli Polacy ujrzeli wówczas swoją gwiazdę, to nią był On. Napoleon jest główną osobą legendy, on stał się miłą udręką wyobraźni poetyckiej. Miłaszewski czuł, że nie może go zrobić bohaterem komedji obyczajowej, ale nie mógł nie ulżyć swemu sercu choćby przez wprowadzenie jego osoby do epilogu. Wiedział, że Polak dzisiejszy miałby do niego żal, gdyby przed odsłonioną na przeszłość kurtyną nie zobaczył Napoleona, który wówczas był w Polsce. Pokazał go też nam Miłaszewski nie w błyskawicach, jako gromowładnego tyrana (tak potem zaborcy go nam przedstawiali), lecz w dobrotli-

wem obcowaniu z przeciętnej miary przedstawicielami społeczeństwa polskiego w chacie mazurskiej. Tak go widzi wdzięczna pamięć polska.

Z kimże zresztą innym miał obcować? Arystokracja, niepewna obrotu sprawy, była niemal nieobecna na polu walk, zarówno w Legjonach na obczyźnie, jak i tutaj, gdy wielką prawdą polityczną porwani, łączyli się Polacy z Napoleonem, aby walczyć o Gdańsk i Pomorze.

W koło trosk politycznych i militarnych dziejowego znaczenia, wkreślił Miłaszewski dramat życia prywatnego, aby ten pozwolił mu pokazać obyczaj domowy w jego stylu, sięgającym życia serc. Zrobił to kunsztownie, nie szczędząc nakładu artystycznego na słowo rytmiczne, tak rzadko na scenie rozbrzmiewające.

I w tem jest miara ambicji artystycznej Miłaszewskiego, że nie ogranicza się rolą technika teatralnego. W technice jest zasadą używanie jaknajmniejszych środków dla osiągnięcia jaknajwiększych rezultatów; Miłaszewski widzi w środkach swoich wtórny cel, pozwolić sobie może na sztukę w sztuce. Utrudnia sobie pracę, aby wyżyć całkowicie swoją wizję w sposób godny artysty.

Publiczność, mająca choćby odrobinę wspólności z autorem w kulturze uczuć i smaku, sowicie jest uraczona.

Ze wszechmiar piękne przedstawienie „Pięknych Polek" reżyserował znakomity artysta Węgrzyn. On też grał rolę główną. Całość, bardzo zajmująca i efektowna w inscenizacji, usiłowała zespolić się z autorem, aby wizja historyczna nic nie traciła, ale owszem zyskiwała na uroku wskutek tego, że ukazana jest poprzez wzorzystą a przezroczą zasłonę wiersza. Rytmika wspaniałego słowa poetyckiego nadawała opowieści wiele wdzięku. Nie wszyscy aktorzy, oczywiście, sprostali zadaniu. Wynagradzały przeciętność innych główne role p. p. Zahorskiej, Węgrzyna, Śliwickiego.

Nowa komedja Miłaszewskiego znalazła rzetelny poklask i trwałe miejsce w teatrze. Z. W.

DYSKUSJA

W SPRAWIE „WYMAWIANIA W JĘZYKU POLSKIM"

REDAKTOR Hłasko zwrócił się do uczonych lingwistów z zapytaniem, czy moje uwagi o dużym wpływie ruszczyzny na literacki język polski są słuszne, czy nie. W dyskusji zabrał głos p. Fr. Machalski, z którego wywodów wynika, że wpływy ruszczyzny na wymowę polskiego języka książkowego nie są tak znaczne, jak ja twierdziłem, i to twierdziłem „apodyktycznie" według wyrażenia tego uczonego. Byłoby ściślej, gdyby zamiast wyrazu „apodyktycznie" użyto wyrazu: „pobieżnie", „krótko", lub „ubocznie". Nie pisałem bowiem rozprawy lingwistycznej, tylko historyczne uwagi, a gramatyka weszła do nich tylko ubocznie i została ujęta bardzo zwięźle, a więc niewyczerpująco.

Ażeby sobie ułatwić zagadnienie, p. Machalski zupełnie pominął bardzo ciekawy objaw zatracenia przez polski język literacki staropolskiego *patronimicum* na: *ic* (starościc), a zastąpienia go przez ruskie: *icz* (panicz). Ta ruska końcówka jest żywotną i stała się obecnie jedyną polską. Jeśli więc obca formacja lingwistyczna zastępuje własną do tego stopnia, że nawet Bielowskiemu nie udało się przywrócić nazwiska „Szymonowic" tylko utrzymano brzmienie „Szymonowicz", brzmienie zruszczone, to ten jeden fakt wyłącznej żywotności ruskiego zakończenia powinienby powstrzymać uczonych od twierdzenia, że wpływ ruski na polszczyznę nie jest znaczny i nie można go zestawić z czeskim lub niemieckim.

W sprawie *h* dźwięcznego daleko również wywodom p. Machalskiego od dokładności. Że „hańba" przyszła z Czech, a „herszt", „hart" i t. d. z Niemiec, to wszyscy wiedzą. Ale powinni wiedzieć, że język polski etnograficzny, na równi z rosyjskim, jest językiem dźwięku *g*, w odróżnieniu od małoruskiego, białoruskiego i czeskiego, które mają podstawowy dźwięk *h*. Jest jednakże i różnica. Podstawowe dźwięki wymienionych języków mają moc asymilacyjną czy jak kto chce zaborczą, to jest stosują te dźwięki do wyrazów obcych. I tak Czesi polski Bogumin nazywają po swojemu Bohumin, Goleszów, Holeszów (Holesov) i t. d., podobnie jak Rosjanie nazywają ruski Husiatyn, Homel, Mohylew i t. d. Gusiatyn, Gomel, Mogilew i t. d.

Prapolski dźwięk *g* nie posiada tej mocy i nietylko ruski Homel, czy Hrubieszów albo Mohylew, zostawia przy ruskiem brzmieniu, ale nazwisko pana, który sam siebie podpisywał Gurko, przerabia na Hurko, a nawet czasami probuje z Gogola zrobić Hohola. Z tego wynika, że pierwotne polskie *g* straciło moc asymilacyjną wobec ruskiego *h*. A nie jest to bynajmniej objawem wymawiania ruskich imion tak, jak brzmią w oryginale. Przeciwnie: język polski asymiluje do swojej wymowy inne ruskie dźwięki, że przypomnę tylko nazwy takie, jak Terebowla, którą spolszczono na: Trembowlę[1]), albo Bereżany na Brzeżany. Jeśli więc polszczyzna przysposabia dla swojej wymowy inne dźwięki ruskie, a wobec dźwięku *h* tego nie robi, to widocznie w tym kierunku uległa wpływowi ruskiemu.

Na temat tego dźwięku powołuje się p. Machalski na wymowę ziemi rzeszowskiej, która zatrzymała dźwięczne *h* w wyrazach obcych i dodaje, że tego nie umie sobie wytłumaczyć. Przypadkowo znam prawie wszystkie wsi od połowy Podkarpacia aż do ujścia Wisłoka do Sanu w całym trójkącie tych rzek — i zdaje mi się, że mam słuszność, kiedy stawiam hypotezę, że to jest wpływ ruski. Ziemia rzeszowska bowiem od czasów Kazimierza W. aż do rozbiorów stanowiła część województwa ruskiego, czyli, jak to później nazwano, lwowskiego. Ślady tej przynależności zostały do dziś dnia. Pod samym Rzeszowem jest unicka wieś Zalesie, a w pow. łańcuckim na południu od Tarnawicy jest takich wsi kilka, na północy zaś, pod samym Leżajskiem, jest ruska wieś Dębno zwana przez mieszkańców Dubno, na lewym, a więc polskim brzegu Sanu, niedaleko od granicy dawnego województwa sandomierskiego. Nawet nazwy niektórych wsi mają brzmienie ruskie np. Mrowla (po staropolsku powinna być: Mrowia) na drodze z Rzeszowa do Głogowa, albo w pow. Rzeszowskim wieś Tryńcza. Ludność tego trójkąta używa wyrazu: *hady* (ani rusz), co pochodzi z ruskiego: *hodi* (np. pieśń ruska: *lubyty sia hodi*). A przecież w powiecie łańcuckim i przeworskim analfabeci używają wyrazu: „*gosło*" zamiast „hasło", czem składają dowód, że poza wyrazami, wziętemi z ruszczyzny, właściwym dźwiękiem polskim jest *g* nie *h*. Możnaby postawić prawidło, że dla ludności rodzennie polskiej właściwym dźwiękiem jest *g*, że na pograniczu z Czechami i Rusinami używa ta ludność w wyrazach zapożyczonych dźwięku *h*, ale czasami nawet i w pożyczonych wyrazach zastępuje ten obcy dźwięk swojem własnem *g* (aby zostać w ziemi rzeszowskiej, powiem, iż w północnej części pow. łańcuckiego analfabeci mówią „gańba" zamiast „hańba"), czyli że u ludu jest, czy był, ten dźwięk *g* zasadniczym, żywotnym, i zaborczym, bo potrawił asymilować. Powołuję się na analfabetów, bo ludzie, umiejący czytać, przyswajają sobie już wyrazy i dźwięki z języka literackiego. A w języku literackim dźwięk *g* utracił żywotność i ruskiego *h* już nie asymiluje, czyli uległ wpływowi ruszczyzny.

P. Machalski stwierdza, że lud polski w okolicach etnograficznych zachował brzmienie *rz* odmienne *ż*. To samo przecież twierdziłem i ja i na tem stwierdzeniu oparłem wniosek, że język literacki uległ wpływom ruskim, skoro wygłasza oba te dźwięki jednakowo. Gdzież tu zatem jakakolwiek sprzeczność naszych wywodów? Co więcej! P. Ma-

[1]) Rdzenny Polak byłby powiedział: Trebowia, nie Trembowla.

chalski, z dziełem prof. Rozwadowskiego w ręce, stwierdza, że rdzennie polska wymowa *rz* „utrzymuje się dziś w narzeczach kaszubsko-słowiańskich, w śląskich dialektach na Spiszu i Orawie, tu i ówdzie na Podhalu, a zatem na ziemiach nie wystawionych na wpływy ruszczyzny". Z tego stwierdzenia powinien tedy wyniknąć wniosek logiczny, że tam, gdzie *rz* upodobniło się w wymowie do *ż*, czyli przedewszystkiem w języku książkowym, dokonało się to wyrównanie brzmień pod wpływem ruszczyzny. Tak właśnie ja twierdziłem, a p. Machalski wbrew własnemu, powyżej zacytowanemu zdaniu, zaopinjował, że twierdziłem w „błędzie". W podobną niekonsekwencję wpada także przy objaśnieniu, dlaczego w języku literackim zaginął przegłos, czyli pochylenie. I przytacza znowu prof. Rozwodowskiego, który „dopatruje się tutaj wpływu kresowego wschodniopolskiego, podkreślając fakt, że na obszarze rdzennie polskim, u ludu, pochylone samogłoski uparcie się trzymają". Czy obszar na wschód od Sanu, Bugu i źródeł Narwi nazwiemy „kresowym wschodniopolskim", czy też, jak ja, poprostu „ruskim", nie zmieni to faktu, że mieszkali tam i mieszkają Rusini i że miejscowa inteligencja, czyli po staremu szlachta, wniosła do polszczyzny swoje nawyczki artykulacyjne czy wygłoszeniowe. I to właśnie ja utrzymywałem.

A więc wielki znawca i szanowany uczony prof. Rozwadowski twierdzi to samo, co ja. Sam ten cytat z prof. Rozwadowskiego powinien też nieuprzedzonego czytelnika przekonać, że jednakże i moje wywody mają naukową podstawę, chociaż nie powoływałem się na żadne autorytety, raz dlatego, że nie lubię chronić się pod cudze skrzydła, a powtóre dlatego, że to nie było potrzebne do moich wywodów.

Co prawda, tutaj p. Machalski stara się osłabić twierdzenia prof. Rozwadowskiego, „wpływem obocznych form": „uproszczeniem wymowy niezdecydowanych dźwięków" i t. p. Nazywa to się w gramatyce analogją i jest osobnym rozdziałem w gramatykach wszystkich języków, znanym od wieków, a nawet tysiącleci, i to nietylko fachowym gramatykom, ale poprostu ludziom wykształconym. Wszak Juljusz Cezar przed dwoma tysiącami lat, ażeby zabić nudę przy mozolnej przeprawie wojsk przez Alpy, napisał w Szwajcarji (przepraszam, Helwecji) dziełko *„de analogia"*.

Ale analogja dotyczy szczegółów, wyjątków, nie może zaś żądną miarą objąć całokształtu pewnego zjawiska, dotyczącego dziesiątek tysięcy wyrazów czyli całego języka. W językach romańskich analogja odgrywa większą znacznie rolę, niż w językach słowiańskich, ale tam nikomu nie przejdzie przez myśl wyjaśnienie zjawisk ogólno językowych, nie sporadycznych, wyłącznie przez upodobnianie.

Zresztą dźwięk *a* pochylone czy *o* nie jest wcale tak „niezdecydowany", jak to twierdzi p. Machalski. Ci, którzy zachowali te dźwięki, a są nimi wszyscy chłopi na całym etnograficznym obszarze polskim, nigdy się nie mylą w ich użyciu, tak są dla nich te dźwięki „zdecydowane". *A* pochylone wymawia się prawie tak samo, jak angielskie *talk*, *all*, *hall* i t. d., i w angielskiem jest ten dźwięk żywotny, „zdecydowany" tak, że wcale nie myśli o spłynięciu się z innym jakimś dźwiękiem. To samo dotyczy *ó*, które ma swój odpowiednik w rumuńskim *ŭ*, tudzież *ă*. Gdy więc w obcych językach te dźwięki nie okazują skłonności do zanikania czy spływania się, gdy na całym obszarze etnograficznej Polski wszyscy ludzie, nieużywający języka książkowego, tych dźwięków „uparcie się trzymają", jak można ich zniknięcie w języku literackim wyjaśniać rodzimemi, etnograficznie polskiemi, przyczynami, choćby nawet przyszło uwzględnić „kilka czynników równocześnie"? Inne kwestje, poruszone przez p. Machalskiego, odkładam dla braku miejsca do drugiego jeszcze artykułu, poświęconego tej sprawie.

JAN ZAMORSKI

OFENSYWA

KROPLA W MORZE!

TRZEBA wracać na swój posterunek i dość naprzód wysuniętą pozycję. Człowiek się wychorował, wycierpiał wymęczył, ale trochę i powietrzem innem odetchnął... Może po „pieredyszce" kilkomiesięcznej nabrał nowych sił i dawnego impetu nie stracił?

Na biurku listów stosy. Z Paryża, w jednej sprawie, polskie i francuskie. Nieprzyjemne w nich rewelacje o zresztą raczej „bagatelnej" sprawie, ale jakże charakterystycznej! Tą bagatelą zajmiemy się nieco na wszczęcie nowej ofensywy.

Otóż, jak to polskiemu ogółowi nie wiadomo, czy też jest przed nim zakrywane i utajane: w Paryżu zaczynają dzisiejszość polską nienawidzieć, poprostu, nienawidzieć, mało powiedziane: zaczynają się dławić wzgardą i odrazą do „takiej" Polski.

Nie żadni tylko czerwoni, nie komuniści z *„Humanité"*, nie socjaliści z *„Populaire*'a", nie żydy i meteki, nie tylko Blumy i Basche, nie tylko *radico* i *radicoco*, nie tylko *„complot de panoplies"*, nie tylko międzynarodowa cyganerja z *Café du Dôme*, nie tylko Montparnasse, nie tylko cała lewica parlamentarna, nie tylko cała prasa bulwarowa, ale co gorsza i przykrzejsza: wyższe koła wojskowe, wyższy kler, „świat gospodarczy", sfery umiarkowane, burżuazja, wielkie gwiazdory prasowe z poważnych pism politycznych, no, i cała literatura (dawniej tylko literatura radykalna), cała elita intelektualna, Sorbona, uniwersytety, korporacje naukowe, Akademja Nieśmiertelnych, mózg Paryża.

Tak, jak lat temu 150, d'Alambert, Wolter i Encyklopedyści, tak do dzisiejszej Polski, t a k i e j Polski z r. 1930 odnosi się intelektualne *upper ten tousand*, wyższych mózgowo dziesięciu tysięcy Paryża.

W przeciągu czterech lat, ściślej: w przeciągu ostatniego roku, ściślej: w przeciągu ostatnich trzech miesięcy: listopad, grudzień, styczeń, straciliśmy dawny kredyt moralny (resztki), całą dawną sympatję, niknie i ginie ufność w nasze możliwości rozwojowe, jako na moralnych, mocnych, solidnych fundamentach odrestaurowanego gmachu.

Niema racji nadal żywić jakichś iluzyj. Czas już, aby korespondenci paryscy naszych pism codziennych i tygodników, aby p. p. Smogorzewski, Zaleski, Korab-Kucharski i t. d. raz wreszcie zdjęli maski z oblicz swoich i wypowiedzieli nam, tu w kraju, szczerą, nieretuszowaną, nieszminkowaną prawdę.

Czy nie grozi nam to, że w krytycznym momencie, który nadchodzi nieubłaganie, bezapelacyjnie, miarowym krokiem, ale punktualnie... mózg Paryża nie wypowie się przeciw nam tak, jak w r. 1870 wypowiedział się przeciw Francji w znanym liście do *„Times*'a" Carlyle? O to panów korespondentów paryskich prosimy i tej prawdy od nich się domagamy. To, co mówią, myślą i piszą prywatnie, niech raz, bez osłonek i bez pardonu, wypowiedzą publicznie. Zapytanie brzmi: czy jest prawdą, że, podobnie jak koła gospodarcze, giełdowe i przemysłowe, że, podobnie jak już w dwóch trzecich ($^2/_3$) sfery dyplomatyczne, parlamentarne, wojskowość, prasa i t. p., że podobnie przeżywają nastroje kompletnego *degoût*, t. j. niesmaku, zniechęcenia, obrzydzenia, odrazy, rozgoryczenia i tajonej lub nietajonej antypatji, ba, nawet idjosynkrazji do „t a k i e j" Polski, wszyscy intelektualiści Paryża, elita francuska, i prawicowa i lewicowa? Czy to prawda, że my, jako aljanci, kompromitujemy, według ich zdania, więcej opinję światową Francji, niż ją kompromitował carat? Czy to prawda, że „ramię" Francji, podtrzymujące Państwo Polskie nad przepaścią nienawiści rozżartych wrogów — sąsiadów, zaczyna być już trochę zmęczone? Czy to prawda, że mają nas dosyć i są „t a k ą" Polską śmiertelnie zmęczeni, znużeni i do ostateczności zdegustowani? Jednem słowem: czy to prawda, że cały świat intelektualny paryski od trzech miesięcy patrzy na nas pod takim kątem, pod jakim d'Alambert pisywał listy do Fryderyka II, a Wolter do Imperatorowej Katarzyny?

Przyjaciele! czy nie czas by był, żebyście raz może, zresztą choćby pod maskami pseudonymów, ale raz wreszcie napisali o tem wszystkiem nagą prawdę. Czy nie nakazuje wam sumienie publicystyczne wyjawić raz bez osłonek, że t a k i e j Polski Paryż intelektualny nie uznaje, nie zniesie, nie chce nadal tolerować i że przeciw t a k i e j Polsce, w imieniu której Beseleroscy Książęta Radziwiłł i Lubomirski odpowiadają tak... „dumnie" Boncourowi, że przeciw takiej Polsce w krytycznym momencie, kiedy trzeba będzie wypowiedzieć słowa przyjaźni i pomocy, może ten zbiorowy Wol-

ter, ten dzisiejszy intelektualny Paryż powiedzieć (po apelu o sukurs) swoje: *veto* ! ?

Biuletyny z Paryża intelektualnego brzmią straszliwie, są groźne, są złowróżbne. Wszystko tam, co myśli politycznie a moralnie, co czyta, co pisze, co jest kwintesencją dzisiejszej Francji, jest od trzech miesięcy przeciw t a k i e j Polsce. Już się tam wcale nie tają z ciągotami do „Moskali" (byle to, co dłużni, oddali). Już tam, jak psychoza, jak obsesja, szerzy się, nie to afekt przelotny, ale głęboka sympatja dla Niemiec, dawna sympatja romantyków i Renanów, i uczonych i sentymentalistów... Ponoć niemieccy pisarze, malarze, aktorzy, artyści no i nawet... generałowie niemieccy jako goście bywają tam tu i owdzie owacyjnie witani, serdecznie traktowani i czują się lepiej, cieplej, pewniej, niż... panowie Sarmaci... Podobno takiej *baissy* uczuciowej nie pamiętają tam wobec nas nad Sekwaną od roku 1871, od czasów pokomunie?...

Może więc, aby t e m u przeciwdziałać raptownie, radykalnie, defininitywnie powziął Antoine Potocki myśl urządzenia w Paryżu takiej *Exposition* 1830 — 1930. Zamiar może i szlachetny, patrjotyczny, a może nawet i całkiem bezinteresowny. Lepiej wierzyć w bezinteresowność. I zakrzątnął się jak na niego z niebywałą energją i aktywnością. Do Warszawy w lecie zjechał, tu chodził, tam stukał, tam pukał, już bywało na schodach (nawet nie w antresolach ministerjalnych) „Pierwszą Brygadę" odśpiewywał, poczem na Endeków renegackim zwyczajem przed mandarynami urągał, aż wreszcie i co mógł to w tych finansowo katorżnie ciężkich czasach wykołatał. Zawsze miał talenty magika czy Mojżesza pod tym względem: z pustego cylindra dukaty, ze skały potok złota jednem stuknięciem laseczki. Ale cóż: wedle stawu grobla. Zaczem grosz wdowi, suma śmieszna: pół miljona franków. Co z tego można było zrobić? Zrobiono wszystko w granicach pewnych możliwości ludzkich. Ale to wszystko w rezultacie definitywnym jest niczem, śmiesznem niczem. Aby wytłumaczyć, że Polska, to jednak! o Paryżanie! mocarstwo, mocarstwo całą gębą, urządzono jakby teatrzyk amatorski, jakby na imieniny cioci... Aby przekonać niewiernych Tomaszów, że to mocarstwo od morza do morza, zaaranżowano w pięciu pokoikach na parterze, a w czterech na pierwszem piętrze ślicznego Muzeum *Jeu de Paume* przy ogrodzie Tuilleryj taki sobie pokaz, *foire* takich sobie *bric à brac*'ów, pokaz godny Estonji lub Albanji.

Napracowali się tam pono z ostatecznem zaparciem się siebie, literalnie w czoła pocie, tacy artyści jak Jastrzębowski, pomagali do powstania tej imprezie pp. Klingsland, Kurman, Manteuffel, Kopczyński, z kraju wysyłał Treter kilka wagonów rozmaitych rozmaitości, co się tam tylko dało wyżebrać od ludzi i instytucyj.

Rezultat atoli wypadł taki, jaki mógł w danych konjunkturach: sześć pasów słuckich, kolekcja orderów polskich, obrazki z tek Mortkowicza, biust Ostrowskiego (z kąta w kąt jeżdżący), ołtarzyk drewniany Szczepkowskiego, wycinanki, witraże, akwarelki, szkice Stryjeńskiej, fotografje Bułhaka, dwie szable, tkaniny, obrazy St. Czajkowskiego, Kossaka, Michałowskiego, kilimy, samodziały, ryciny, kartony, reprodukcje i moc grafikonów, mozolnych i zresztą wzorowo zrobionych wykresów, udowodniających czarno na białem, cyfrowo, statystycznie, jakie to państwo bogate, potężne i jakie porobiło rozwojowe postępy. Miał być jeszcze Kopernik i Sobieski, ale do tego nie doszło, więc ni stąd ni zowąd równie „antyparyska" sala węgierska, *summa summarum* ni to Salon Sztuki, ni Stosowana, ni Folklor, ni historyczna, a podobno „historjozoficzna"... „aby Paryż miał sposobność zapoznać się z ideologją W o j n y Grottgera" (dosłownie), z „polskim dorobkiem gospodarczym" (*sic!*) „Polską jako czynnikiem obrony idej demokratycznych w Europie" (*sic!*), o czem miały przekonać też wykaligrafowane przez któregoś majora napisy: „Za naszą wolność i waszą".

W rezultacie, jak można było przewidzieć, beznadziejny blamaż, nowe ośmieszenie, fatalna frekwencja, garść wzmianeczek, wyproszonych i wyżebranych, jednego dnia w prasie, kompletny sabotaż wszystkich figur oficjalnych, włóczące się po pustych salkach „rodaki", „szkółki polskie", łaziki oraz korespondenci prasy stołecznej, zdopingowani do wypisywania najbezczelniejszych reklam i reklamstw o „*tout Paris*", o „spontanicznym entuzjazmie", o „zacieśnięciu węzłów przyjaźni", „przełomie w propagandzie", o „wystawie uczącej m a s y francuskie", o „*conferences promenades*", *par exemple* „Świat i wystawa polska", gdzie znalazło się takie zdanie:

„Polska Wystawa w Paryżu stała się przez to wszystko jądrem i rozsiewaczem myśli, idej, poglądów i zrozumień. Ta fosforyzacja jej treści rozpływa się już po świecie przez prasę".

Dalej już zajść w świadomem i cynicznem oszukiwaniu opinji publicznej w Polsce nie można.

Fiasco przyjść musiało. Sam pomysł przy danych możliwościach finansowych był antyczny i parafjalny, jak ten cały p. Potocki przy całym swoim paryzjanizmje. Taka Wystawa mogła mieć pewne szanse przed wojną w r. 1910, 1912. Z taką Wystawą możnaby od biedy objeżdżać prowincjonalne i kresowe miasta w Polsce dla celów edukacyjnych, pedagogicznych. Impreza dyletancka, fuszerska, tandetna i dziadowska, znów *malgré lui* stwierdzająca, że Polska jest „szlachetna i nieszczęśliwa". Taką wystawą Paryżowi ani zaimponować, ani go skonwinkować nie było można.

Ubóstwo i przypadkowy dobór „eksponatów" i obrazeczków znów mógł tylko wyrobić w zwiedzających czy „panach z prasy" błędne przekonanie o beznadziejnej nędzy polskiej, gdy się zważy, że na studjowanie grafikonów i wykresów żadnego reportera się nie weźmie. Z miejsca też zrobiono pod biustem Ostrowskiego dowcip, że Wystawa jest istotnie Dziadowska, ale nie polska i nie mocarstwa godna.

Rzecz jasna, że tam, gdzie nic na razie nie można pozytywnego przedsiębrać w zakresie propagandy, gdzie zapanowała ogólna pogarda i odraza do nowych, wielkich już występów i popisów polskiej Czerezwyczajki, tam i takie *Forberies de Scapin Potocki* mogą o czemś tam kilku Francuzów pouczyć. Ale *antidotum* na Brześć, na G. Śląsk, na „pacyfikację", na Łuck i t. p. to nie jest żadne. Ani „masy", ani „świat", ani *tout Paris* na ten amatorski i dyletancki kiermasz nawet nie zajrzały.

Tak, jak dziś, w styczniu r. 1931, rzeczy stoją, Paryż, t. j. stolica naszych aljantów zaczyna „t a k ą" Polskę nienawidzieć i nami gardzić.

O tem trzeba dziś już poważniej pomyśleć i podyskutować.

Na order atoli p. Antoni Potocki rzetelnie zasłużył, już choćby za to, że rozdał nieco „forsy" między artystów, no i za to, że w erze takiej biedy i nędzy udało mu się na fikcję i na *bluff* zdrowo po staremu kogoś naciągnąć czyli po parysko-łazikowsku „stampować". *Habeat sibi!*...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

S u k c e s bogiem jest dziś; on czarnoksięstwo
Swe rozpostarł jak globu kartę;
Ustąpiło mu nawet i z w y c i ę s t w o
Starożytne, zawsze coś warte.

Aż spostrzeże ten tłum u swej mogiły,
Aż obłędna ta spostrzeże zgraja,
Iż zwycięstwo w y t r z e ź w i a ludzkie siły,
Gdy sukces je — owszem — r o z p a j a.

(C. N o r w i d).

*

Zupełnie niesłusznie zarzucają p. Ferdynandowi Goettowi milczenie w sprawie Brześcia. Wszakże on zaraz po krwawej masakrze w Krakowie w listopadzie 1923, czynionej ze znanem imieniem na ustach zbrodniarzy, wypowiedział się w swej powieści „Z dnia na dzień" aż nadto wyraźnie: „Niech będzie przeklęty k a ż d y (!) próg, na którym leży trup człowieka".

Czyż wobec tego są potrzebne nowe deklaracje, czy to względem rokoszu majowego 1926, czy wobec Brześcia, ze strony człowieka, który tak niedwuznacznie potępił dochodzenie do władzy po trupach ludzkich? Przecież tamtej swej książki p. Goetel nie wycofał z obiegu, więc nikt lojalny nie powinien wątpić, że i dziś tak samo myśli.

*

P. Szymon Meysztowicz obraził się na redakcję „*Revue des deux Mondes*" za jej ocenę ostatnich wydarzeń w Polsce i wypracował list, dowodzący, że wywiady p. Piłsudskiego są najwłaściwszym środkiem pedagogicznym dla Polaków, a Brześć najstosowniejszym sposobem do stworzenia prawdziwej praworządności. Według niestwierdzonych jeszcze pogłosek, redakcja francuskiego czasopisma miała zamiast odpowiedzi polecić obrońcy wywiadów i Brześcia odczytanie Mickiewiczowej dedykacji „Dziadów" „Do Przyjaciół Moskali" ze szczególnem uwzględnieniem ostatniej zwrotki, którą pozwolimy sobie przypomnieć naszym czytelnikom:

„Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do długo i cierpliwie noszonej obroży,
Że wkońcu gotów kąsać rękę, co ją targa".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.